

1.315.040

4950

WIGILIA
BOŻEGO NARODZENIA

POWIEŚĆ

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO



WARSZAWA
Druk Habieszewskiego i Wrotnowskiego

1900

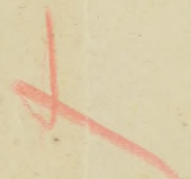
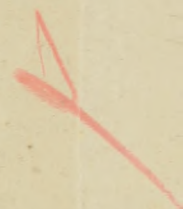
17685

17685

0



WIELKI NISZOZYĆ KSIĄŻEK





~~4950~~

NIE NISZCZYĆ KSIĄZEK

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA.



WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA

POWIEŚĆ

KAROLA DICKENSA

~~1000~~ 17685.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO



NIE NISZCZYĆ KSIĄŻEK

WARSZAWA

Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego

1900

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017565545

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Апрелья 1899 года.



I. 315.040

. 1956 D 843/48



~~4950~~

I.

WIDMO MARLEY'A.

Marley już nie żył. Nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Akt jego śmierci podpisany był przez księdza, przez pisarza parafii i przedsiębiorcę karawanów. Scrooge go także podpisał, a imię Scrooge'a nadawało na giełdzie wielką wartość każdemu papierowi, na którym się podpisał.

Stary więc Marley umarł z pewnością.

Czy Scrooge wiedział o tem? Bez wątpienia. Mogłoby być inaczej? Scrooge i Marley był w spółce od niepamiętnych czasów. Scrooge był jedynym wykonawcą testamentu, jedynym zarządcą majątku, jedynym spadkobiercą, jedynym przyjacielem i jedynym towarzyszem pogrzebu. Chociaż, prawdę powiedziawszy, wypadek ten nie oddziałał nań tak straszliwie, iżby mu miał przeszkodzić do wykazania w dniu pogrzebu znakomitych zdolności handlowych; i owszem, chwilę tę uczcił Scrooge zrobieniem bardzo korzystnego interesu.

Nie ma wątpliwości, że Marley umarł; trzeba to dokładnie zrozumieć i głęboko się tem przejąć, inaczej historia, którą opowiedzieć zamierzam, nie miałaby w sobie nic nadzwyczajnego.

Scrooge nie starł wcale z szyldu nazwiska Marley'a. Wiele lat jeszcze nade drzwiami kantoru błyszczał napis: „*Scrooge et Marley*.“ Dom handlowy znanym był wszystkim pod tą firmą. Osoby jednak, mniej świadome interesów, wołały niekiedy na Scrooge'a, panie Scrooge! a niekiedy panie Marley! — odpowiadał na oba nazwiska — nie go to nie mieszało.

A ścisnął też wszystko w garści ten pan Scrooge — stary grzesznik; był to skąpiec nad skąpcę, umiał on wyrwać, wykręcić, wydusić i wydrapać a nigdy nie wypuścić. Twardy i ostry jak krzemień, z którego nigdy stał nie wykrzesła żadnej szlachetnej iskierki, był tajemniczy i zamknięty w sobie. Zimno wewnętrzne skurezyło mu oblicze, ścisnęło spiczasty nos, zmarszczyło czoło, zaczerwieniło oczy, zeszywniło postawę, zasinilo zacięte usta i objawiało się na zewnątrz suchym i skrzypiącym głosem. Białawy szron pokrywał mu głowę, brwi i podbródek ostro spiczasty. Wszędzie i zawsze niósł z sobą lodowatą atmosferę, studził swą obecnością kantor podczas upałów.

Upał i zimno wewnętrzne nie wywierało nań żadnego wpływu. Gorąca letnie nie grzały go, mrozy zimowe nie mroziły. Żaden też wiatr nie był od niego ostrzejszy. Niepogoda nie mogła mu niczem dokuczyć; najstraszliwsze ulewy, śniegi,

grad, zawieruchy, nie miały nad nim najmniejszej przewagi. Padaly one niekiedy *do zbytku*; Scrooge nie znalazł tego wyrazu. Nikt nie zatrzymał go na ulicy, aby mu powiedziec z uśmiechem: „kochany Scrooge, jak się masz? Co tam slychać? Przyjdźże nas odwiedzić?“ Żaden żebrak nie poprosił go o jałmużnę, żadne dziecko nie zapytało o godzinę. Nigdy nie widziano, aby kto z przechodniów, czy to mężczyzna, czy kobieta, zapytał go o kierunek drogi. Sądziłbym, że znały go nawet psy prowadzące niewidomych, gdy bowiem nadchodził, odciągały swych panów do sieni i w uliczki, poruszając znacząco ogonem, jak gdyby chciały wyrazić: „Biedny mój panie, lepiej nie widzieć, niż mieć oczy!“

Lecz cóż go to obchodziło? Tego właśnie pragnął — do tego dążył. Wydeptać sobie samotną ścieżkę obok szerokiego gościńca, którym świat cały przebiega i ostrzedz przechodniów wielkim napisem, aby mu nigdy nie wylazili w drogę i trzymali się zdale, było ulubionem jego zadaniem.

Pewnego dnia, najlepszego ze wszystkich dni roku, w wigilię Bożego Narodzenia, stary Scrooge, bardzo zajęty, siedział w kantorze. Zimno było dotkliwie i przenikające, czas był mglisty; Scrooge mógł dosłyszeć jak przechodzący ludzie chuchali w palce, oddychali głośno, rozcierali ręce, tupali nogami o bruk, aby się cokolwiek rozgrzać. Trzecia godzina wybiła na wieży, a noc była już zupełna. Cały dzień było ciemno; — światła ukazujące się w oknach sąsiednich mieszkań wyglądały jako rude plamy na czarnem tle gęstego i dotykalnego pra-

wie powietrza. Mgła wciskała się wewnątrz domostw przez wszystkie szpary i dziurki od klucza, a na zewnątrz tak była gęsta, że w najciaśniejszej nawet uliczce przeciwległe budynki wyglądały jak widma.

Drzwi od kantoru Scrooge'a były otwarte, aby mógł mieć na oku buchaltera siedzącego w małej sąsiedniej izdebce albo raczej w ciemnej piwniczce, gdzie przepisywał listy. W pokoju Scrooge'a tlał maleńki ogień — lecz ogień w izbie buchaltera nierównie był mniejszy — zdawałoby się, że się zaledwie żarzy jeden węgiel. Nie mógł go biedak podsyć, ponieważ koszt z węglami stał w pokoju pryncypała, a ilekroć powążył się wniknąć z łopatką po węgle, Scrooge wyrzucał mu, że go rujnuje i że będzie go musiał oddalić. Dla tego też nieszczęśliwy buchalter wziął na szyję wełniany szalik i próbował ogrzać się przy świecy, w braku jednak dość bujnej wyobraźni, usiłowania te speszły bezskutecznie.

— Wesolych świąt wujaszku — niech cię Bóg błogosławi—ozwał się głos dźwięczny. Był to głos siostrzeńca Scrooge'a, który wpadł tak nagle, że stary nie miał czasu go spostrzedz.

— Ba—rzekł Scrooge—głupstwo!

— Święta Bożego Narodzenia! wujaszku, tyś tego nie chciał powiedzieć?

— Tak jest—rzekł Scrooge.—Wesolych świąt! Jakim prawem masz być wesolym? Co za powód, abyś się oddawał rujnującej wesołości? Jesteś i bez tego dosyć ubogi.

— No, no!—odpowiedział siostrzeniec—jakiem prawem jesteś smutny i kwaśny, dla czego cały zatapiasz się w tych ponurych liczbach i rachunkach? Już jesteś dosyć bogaty.

— Głupstwo—rzekł po chwili Scrooge, nie mając lepszej odpowiedzi—głupstwo.

— Nie gniewaj się, wujaszku!

— Jak się tu nie gniewać, żyjąc w świecie pełnym głupców i takich jak ty waryatów. Wesolych świąt! Idźcie do licha z waszą wesołością. Czemuż jest dla was Boże Narodzenie, jeśli nie chwilą płacenia rachunków, na które często nie macie pieniędzy, dniem w którym znajdujecie się o rok starszymi, a o szeląg nawet nie bogatszymi, dniem sprawdzania ksiąg handlowych, po zsumowaniu których przekonywacie się, że w ciągu upłynionych dwunastu miesięcy żaden interes nie przyniósł wam najmniejszego zysku. Gdyby to zależało ode mnie—dodał z wzrastającym oburzeniem—to każdego głupca, biegającego od domu do domu z okrzykiem *wesolych świąt* na ustach, wsadziłbym w kocioł, w którym się gotuje budyń i pochował z gałązką choiny w sercu. Tak jest.

— Wujaszku! — zawołał siostrzeniec — chcąc bronić sprawy Bożego Narodzenia.

— Siostrzeńcze! — przerwał surowo starzec—obchodź sobie święta jak ci się tam podoba i pozwól mi, abym je także obchodził na mój sposób.

— Ależ ty ich wcale nie obchodzisz, mój wuju.

— Tem lepiej — zostaw mnie tak jak jestem. Wiele ci z tego przyjdzie — już ci te święta tyle przyniosły zysków?!

— Przyznaję, że nie zawsze umiałem korzystać z okoliczności, ale mniejsza o to. Wracając do tych świąt, dzień Bożego Narodzenia (pomijając już poszanowanie należne świętej jego nazwie i Boskiemu początkowi, czego pominąć nie można myśląc o tym dniu ważnym) jest dla mnie najpiękniejszym dniem roku: chwilą dobroci, łagodności, przebaczenia uraz, litości, zabawy, przyjemności, jedynym dniem, w którym wszyscy ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci otwierają dobrowolnie serca, cieszą się, radują, zapominają o różnicy majątku i stanowiska i widzą tylko w bliźnich braci i towarzyszków podróży na drodze do wieczności. Dla tego też chociaż dzień ten nie przyniósł mi nigdy w zysku ani złota ani srebra, wielem mu winien dobrego i wiele się po nim jeszcze spodziewam, dla tego to z radością wykrzykuję: „Niech będą pochwalone święta Bożego narodzenia!“

Buchalter, przysłuchujący się z piwniczki, pomimowolnie przyklasnął, lecz spostrzegłszy natychmiast, że popełnił niedorzeczność, schwycił w pomięszaniu cęgi, chcąc niemi poprawić ogień i zagaślił zupełnie ostatnią iskierkę.

— Niech ja cię raz jeszcze posłyszę—zawołał z gniewem Scrooge do buchaltera—to na powinszowanie świąt Bożego Narodzenia natychmiast cię wypędzę! Co do pana—rzekł zwracając się do siostrzeńca—znakomitym jesteś mów-

cą. Dziwię się, że dotąd nie zasiadasz w parlamencie.

— Nie gniewaj się, wujaszku — oto, wiesz co, lepiej przyjdź jutro do nas na obiad.

Scrooge się zaperzył. — Idź mi do djabła. Tak, idź do djabła—zawołał z uniesieniem.

— Ależ dla czego, mój wujaszku?... dla czego?...

— Pocoś się ożenił? — zapytał Scrooge.

— Byłem zakochany.

— Byłeś zakochany! — mruknął Scrooge.— Głupstwo — głupstwo. Dobranoc.

— Mój wujaszku, wszakże przed mojem ożenieniem i tak nigdy mnie nie odwiedzałeś. Dla czegoż więc szukasz w tem wymówki?

— Dobranoc—rzekł Scrooge.

— Nic od ciebie nie żądam, o nic cię nie proszę, czemuż nie mamy być dobrymi przyjaciółmi?

— Dobranoc!

— Boli mnie, bardzo mnie boli twoja surowość i zaciętość. Wszakże nic mi nie możesz zarzucić? Zrobiłem krok dzisiejszy dla uczczenia Bożego Narodzenia i pomimo tej przykrości będę się radował. Tak więc, mój wuju, życzę ci wesółych świąt!

— Dobranoc! — rzekł Scrooge.

Siostrzeniec wyszedł z pokoju, nie wyrzekłszy ani jednego wyrazu niezadowolenia. Zatrzymał się chwilkę przede drzwiami drugiego pokoju, dla złożenia życzeń buchalterowi, który, chociaż do szpiku

przemarzy, gorętszym był jednak od Scrooge'a, gdyż serdecznie mu podziękował.

— Masz tu tobie drugiego szaleńca — mruknął Scrooge z gniewem.—Mój buchalter, nędzarz, zarabiając 15 szylingów tygodniowo, obarczony żoną i dzieciakami, mówi mi o wesołych świętach. Da-libóg trzeba uciekać po domu waryatów, może tam są rozsądniejsi ludzie.

Ow *zapamiętały szaleniec*, pożegnawszy w sieni siostrzeńca Scrooge'a, wprowadził dwie nowe osoby. Byli to dwaj bardzo przyzwoici panowie, postawy ujmującej; w tej chwili stali grzecznie, zdjawszy kapelusze, przed biurkiem Scrooge'a; trzymali w ręku papiery i rejestra i powitali bankiera głębokim ukłonem.

— Dom handlowy Scrooge et Marley, jeżeli się nie mylę?—rzekł jeden z nich, zajrzawszy w listę.— Czy mam zaszczyt mówić z panem Scrooge, czy z panem Marley?

— Pan Marley nie żyje od lat siedmiu—odpowiedział Scrooge.—Dzisiejszej nocy będzie lat siedm jak umarł.

— Nie wątpimy, że jego szczodroliwość godnego ma przedstawiciela w pozostałym wspólniku—rzekł nieznajomy, podając Scrooge'owi pełnomocnictwo do zbierania składek.

Miał zupełną słusność; wspólnicy bowiem podobni byli do siebie jak dwie krople wody. Na ten nie miły wyraz *szczodroliwość*, Scrooge zmarszczył brwi, wstrząsnął głową i oddał nieznajomemu papiery.

— W tak radosnej chwili jak terazniejsza, szanowny panie Scrooge—rzekł tamten, biorąc za pióro—więcej niż kiedykolwiek pożądaną jest rzeczą zebrać dla biednych i niezamożnych braci naszych jakiegokolwiek wsparcie. Jest tysiące takich, którym zbywa na najpierwszych potrzebach, sta tysięcy innych, nie będących w stanie polepszenia chwilowo nawet swego bytu.

— Czy to nie ma więzień? — zapytał Scrooge.

— Oh! jest ich aż zanadto—odpowiedział nieznajomy, upuszczając pióro. - -

— A domy przytułku — mówi dalej Scrooge — byłyżby już zamknięte?

— Przeciwnie panie—rzekł drugi—i niech Bóg nie dopuści, aby się to wydarzyć miało.

— A domy zarobkowe! — prawa o ubogich i żebrakach, czy: zawsze są czynne i wykonywane?—rzekł Scrooge.

— Zawsze; — domy są pełne, a prawo obmyśla środki ratunku i pomocy.

— A ja się tak przeraziłem tem coś mi pan powiedział, sądziłem bowiem, że jakieś nieprzewidziane okoliczności powstrzymały bieg tych pożytecznych zakładów. Cieszę się niewymownie z mojej pomyłki.

— Przekonani, że instytucje te nie są w możności zaspokojenia potrzeb duchowych i materialnych ogółu niezamożnych, niektórzy z nas starają się zebrać pewną kwotę pieniędzy, w zamiarze obrócenia jej na mięso, chleb i węgle dla nieszczęśliwych — wybraliśmy obecną epokę, ponieważ w tym

właśnie czasie potrzeby najdotkliwsze, niedostatek najboleśniej czuć się daje, a obfitość i zamożność większe niż kiedykolwiek sprawia zadowolenie.

— Na ileż pan dobrodziej każe się wpisać?

— Na nic!—odpowiedział Scrooge.

— Pan zapewne pragnie ukryć nazwisko?

— Pragnę, żebyście mi panowie dali spokój.

Ponieważ zapytujecie mnie czego sobie życzę, taka jest moja odpowiedź: ja sam nie wesele się wcale na Boże Narodzenie, zkądże więc tak dziwne żądanie, żebym dostarczał próżniakom środków zabawy i rozrywki? Płacę należne podatki, przyczyniam się więc do utrzymania zakładów, o których mówiłem — kosztują one bardzo dużo; — ci więc, którym tam jest niedogodnie, niech sobie szukają gdzieindziej przytułku.

— Są tacy, którzy się docisnąć nie mogą — są znowu inni, którzyby woleli raczej umrzeć, niż...

— Ah, jeżeli wolą umrzeć—przerwał Scrooge—mają wielką słuszość, tym sposobem uniknie się przeludnienia. Zresztą, wybaczą mi panowie, ja nie znam tego wszystkiego.

— Ale bardzoby panu łatwo przyszło z tem się obznajmić.

— To do mnie nie należy, człowieku ma i tak dosyć zajęcia z własnymi interesami, żeby się miał jeszcze mieszać w to, co do niego nie należy. Moje interesa zabierają mi cały czas. Dobranoc panom!

Zrozumiawszy wyraźnie, że wszystkie dalsze przedstawienia żadnego nie wywrą skutku, dwaj

nieznajomi odeszli. — Scrooge wziął się na nowo do pracy, coraz więcej z siebie zadowolony i w daleko lepszym niż zwykle humorze.

Tymczasem mgła i ciemność tak się zwiększały, że widać było na ulicy ludzi z zapalonemi pochodniami i latarniami, migających się tu i owdzie i ofiarujących swe usługi woźnicom, aby biedz przed końmi i prowadzić je po drodze. Odwieczna wieżyca kościelna, której starożytny wyszczerbiony dzwon zdawał się zawsze spoglądać ciekawie przez gotyckie, w murze wycięte okno, na Scrooge'a siedzącego przy biurku, znikła zupełnie przy mgle i biła godziny, pół godziny i kwadranse w obłoki, z tak przedłużonem drganiem i jękiem, jak gdyby szczękała zębami, osadzonymi gdzieś wysoko w olbrzymiej zmarzniętej czaszce. Zimno wzrastało. Gromadka rzemieślników, zajętych nitowaniem rur gazowych, rozpalila na rogu ulicy wielkie żarzące się ognisko, około którego cisnął się tłum obdartych i drżących od zimna ludzi dorosłych i dzieci, grzejących sobie ręce i pożerających niebieski płomień wzrokiem zachwycenia, wdzięczności i cheiwości. Zamarzł kurek wodociągu, a wiszące w około grube lodowate sople przystroiły go w komiczno-przerażającą lodową a brodę.

Błyszczące światła magazynów rzuciły czerwony odbłask na blade twarze przechodniów. Sklepy rzeźników, korzenników i przekupniów drobiu przedstawiały widok uroczy i wspaniały, nie dozwalający wcale przypuszczać, aby poziome cele handlu i zysku miały jaką wspólność z tym arty-

stycznym przepychem. Lord-Major *) w potężnym swym zamku Mansion-House wydawał rozkazy secinie kucharzy i piwnicznych, dla przygotowania uroczystej wili, jak wypada na Lorda - Majora; a biedny krawiec, skazany przez niego w przeszłym tygodniu na pięć szylingów kary za pijaństwo i włóczęstwo, przygotowywał na swem poddaszu jutrzejszy budyń, podczas gdy chuda jego połowica z dzieckiem na ręku biegła do sąsiedniego rzeźnika za kupnem kawała wołowiny.

Mgła się powiększa — mróz wzrasta! Mróz trzaskający, srogi, przenikliwy. Gdyby święty Dunstan, zamiast chwycić szatana zwykłemi cęgami, uszczypnął go w nos podobnem zimnem, dopierożby zły duch zawył przeraźliwie.

Mały ulicznik, właściciel noska zsiniałego i ściśniętego przez zajadły mróz jak kość przez psów ogryziona, pochylił się pode drzwiami Scrooge'a, chcąc go uczyć piosenką — lecz po pierwszych wyrazach:

Ej kolenda — kolenda!

Scrooge porwał leżącą przed sobą linię z gestem tak wyrazistym, że przerażony śpiewak, pomimo mrozu, zemknął jak oparzony, zostawiając dziurkę od klucza mgłę i lodowatej parze, które z sympatycznym i przyjaznym podmuchem pociągnęły ku swemu ulubieńcowi.

*) Prezydent miasta Londynu. obierany corocznie z grona najznakomitszych obywateli.

Nadeszła nareszcie chwila zamknięcia kantoru.

Scrooge mrużąc podniósł się z krzesła, dając tym sposobem buchalterowi niemy znak zamknięcia czynności i pozwolenia wyjścia, na co tamten już oddawna wyczekiwał z tłumioną niecierpliwością. Zgasił więc szybko świecę i wziął do ręki kapelus.

— Pewnie byś sobie życzył nie zajrzeć nawet do kantoru w dniu jutrzejszym? Tak mi się coś zdaje—rzekł Scrooge.

— Jeżeli pan nie ma nic przeciw temu?

— Mam bardzo wiele. A gdybym ci też wytrącił za ten dzień pensję, dopieroś się daś i szemrał, żem cię pokrzywdził. Oh! — jestem o tem jak najmocniej przekonany.

Buchalter gorzko się uśmiechnął.

— A jednak wcale cię nie obchodzi moja krzywda i strata jaką ponoszę, płacąc ci za dzień, w którym nie będę z ciebie miał żadnego użytku.

Buchalter ośmielił się zrobić uwagę, że to wydarza się tylko jedyny raz do roku.

— Wielka mi racya, co za usprawiedliwienie, aby mieć prawo sięgania do cudzej kieszeni dla tego, że to jest dzień 25 grudnia—odpowiedział Scrooge gniewliwie, zapinając surdut pod górę.—No, cóż robić, muszę ci darować dzień jutrzejszy, proszę mi tylko wynagrodzić tę stratę i następnego dnia przyjść do kantoru weześniej niż zwykle.

Buchalter przyrzekł uroczyście, a Scrooge wyszedł ruszając ramionami i pomrukując coś o leni-



stwie i próżniactwie. W mgnieniu oka zamknięto kantor, buchalter, pociągnawszy aż do pasa końce białego wełnianego szalika, sunął, potknawszy się ze dwadzieścia razy na szklistym chodniku, wyszlifowanym przez uliczników, szykujących od południa ślizgawki na cześć jutrzejszego święta; wreszcie wszedł w zaułki, spiesząc się na gwałt do domu, żeby miał jeszcze czas zagrać z dziećmi w ślepią babkę.

Scrooge zjadł lichy obiad, w lichój garkuchni, gdzie się zwykle stołował. Przeczytawszy wszystkie dzienniki i uprzyjemniwszy sobie wieczór notowaniem w pugilarzesie zysków w ciągu dnia osiągniętych i operacyi na pojutrze układanych, poszedł do siebie, aby się spać położyć. Zamieszkiwał lokal zajmowany niegdyś przez nieboszczyka współnika. Lokal ten składał się z kilku ciemnych pokoi, mieszczących się w dawnym ponurym budynku, leżącym w zakręcie wąskiej uliczki, w tak dziwnem odosobnieniu, że mimowolnie nasuwała się każdemu myśl, iż się tam ukrył kiedyś w odległej młodości, grając w *chowanego* z innymi domostwami i że zmyliwszy drogę, nie mógł już wyleźć żadnym sposobem. Dziś budynek ten był stary i tembardziej ponury, że nikt w nim nie mieszkał oprócz Scrooge'a, inne bowiem lokale wynajmowano na kantory i biura kupieckie. Dziedziniec tak był ciemny, że nawet Scrooge, znający doskonale każdy niemal kamyk, musiał iść po omacku. Mgła i gołoledź tak zawisły na ponurych drzwiach domu, że zdawało się, jakby ponury *duch zimy* rozsiadł się na progu,

w smutnem pogrążony zamyśleniu. Ale wróćmy do rzeczy. Jest fakt rzeczywisty, że młotek do kolatania, znajdujący się u drzwi, nie miał w sobie nic nadzwyczajnego — może tylko był nieco za grubo — faktem jest najprawdziwszym, że Scrooge widywał go rano i wieczór codziennie, od kiedy mieszkał w tem miejscu; że oprócz tego Scrooge nie posiadał wcale, ale to ani szczypty tego, co to dziwaczni ludzie nazywają *wyobraźnią*, tak jak to przystało na prawego mieszkańca *Starego miasta* Londynu, nie wyłączając (przepraszam za moją śmiałość) szanownej korporacji kupców, bankierów, ławników i rajców staromiejskich. Trzeba także wiedzieć, że Scrooge ani razu nie pomyślał o Marley'u od chwili obojętnej wzmianki, jaką zrobił poprzednio, mówiąc o zaszłej przed siedmiu laty śmierci byłego współnika. Proszę mi więc wytłomaczyć, jeżeli to da się wytłomaczyć, jakim sposobem Scrooge, wsadzając klucz w zamek, ujrzał w młotku (nie wyrzekłszy żadnych czarodziejskich zaklęć) nie młotek, ale... twarz Marley'a!

Tak jest — powiadam wam, twarz albo *oblicze* Marley'a. Nie był to cień zamglony i niewyraźny jak inne przedmioty znajdujące się na dziedzińcu — przeciwnie, zjawisko okolone było przerażającym odbłyskiem, podobnym n. p. do zgnitego raka morskiego, rzuconego w kąć ciemnej piwnicy. Wyraz twarzy nie nosił na sobie najmniejszej cechy gniewu lub drapieżności — patrzała na Scrooge'a, jak to zwykle czynił Marley, przez okulary widma podniesione na czoło upiora. Włosy rozrzucone

miała dziwacznie, jak gdyby podmuchem wiatru lub ciepłej pary, a chociaż oczy doskonale były otwarte, wszelako były najzupełniej nieruchome — stały słupem. Okoliczność ta, połączona z grobową bladością, czyniła ją straszliwą, lecz przerażenie, jakiego doznał Scrooge na ten widok, nie pochodziło ze zjawiska, jak raczej z niego samego. Gdy się jednak dobrze wpatrzył w widziadło, ujrzał po prostu młotek.

Sklamałbym wierutnie, mówiąc, że nie zdrzął, lub że krew jego nie uczuła pewnego, bardzo niemilego wrażenia, jakiego nie doznawał od lat najmłodszych. Wkrótce jednak ochłonął, nacisnął klucz z rąk wypuszczony, obrócił nim mocno i wszedł zapaliwszy świeczkę, którą zwykle nosił przy sobie.

Nim zamknął drzwi, zastanowił się przez chwilę w niepewności, zaczął się chyłkiem oglądać po za siebie, jak gdyby już był przygotowany do nowego wzruszenia i przerażenia, jakiego spodziewał się doznać na widok cienkiego i długiego harcapa Marley'a, wysuwającego się przez dziurkę od klucza. Nic jednak nie było na drugiej stronie drzwi oprócz śrub i gwoździ, służących do przytwierdzenia zamka i młotka. Ochłonął więc i wykrzyknął nąwszy: Głupstwo! Głupstwo! gwałtownie trzasnął drzwiami. Łoskot i stuk rozszedł się jak grom po całym domu. Każdy pokój na piętrze, każda beczka, każdy okseft złożony na dole, w piwnicy handlarza win, wydały oddzielny odgłos, spieszący skwapliwie na przyjęcie udziału w tym olbrzymim

koncercie echów. Scrooge atoli nie należał do rzędu ludzi, których echo może przerazić. Zamknął starannie drzwi, przeszedł sieni, wszedł na schody i po drodze zapalił świeczkę, którą miał przy sobie.

Znacie zapewne owe gościnne staroświeckie schody, po których mogłaby przejechać sześciokonna kareta; powiadam wam, a możecie mi wierzyć, że schody Scrooge'a tak były szerokie, że nawet karawan mógłby się na nich wygodnie pomieścić — i to porządny karawan. Może więc z tego powodu zdawało się Scrooge'owi, pogrążonemu w ciemności, że przed nim postępuje orszak pogrzebowy. Sześć płomieni gazowych zaledwie byłyby w stanie należycie oświetlić sieni i te schody, wyobraźcie więc sobie, jak tam musiało być ciemno przy cienkiej świeczce bankiera.

Szedł dalej na górę, obojętny na wszystko. Ciemność nie wiele kosztuje, dla tego Scrooge bardzo ją szanował. Nim jednak zamknął drzwi od swego mieszkania, zlustrował cały lokal, dla przekonania się, czy też wszystko jest w porządku.

Salon, pokój sypialny, skład rupieci i gratów, wszystko było jak należy. Zajrzał pod stół (może wspomnienie widziadła krążyło mu po głowie i skłaniało do tej przezorności), nikogo pod stołem, nikogo pod kanapą — mały ogień na kominku, filiżanka i łyżeczka przygotowane — do ognia przystawiony garnuszek z kleikiem (od kilku dni Scrooge jakoś nie domagał). Nikogo pod łóżkiem, nikogo w szlafroku zawieszonym na kołku w postawie

wzbudzającej niejako podejrze­nie. Skład rupieci był jak zwykle: stare wilki żelazne od kuchni, kilka par bardzo zużytych butów, kosze połamane, zar­dzewiałe gwoździe, umywalnia, waliza, kufe­rek i t. p.

Zupełnie uspokojony popchnął zasuwkę, raz jeszcze obejrzał zamek, zakręcił klucz na dwa razy; tak ubezpieczony od wszelkiej niespodzianki roze­brał się, zdjął krawat, wdział szlafrok, pantofle, szlafmycę i zasiadł przed kominkiem, zabierając się do wypicia kleiku.

Mówiłem wam, że ogień był bardzo mały — rzeczywiście tak małeńki, iż niczem był prawie, szczególnie­j na tak zimną noc. Musiał się więc bardzo blisko przysunąć, prawie ogrzewać go sobą, nim zdołał wydobyć jakiegokolwiek uczucie ciepła z węgielka tak małego i osty­głego, że każdy z nas utrzymałby go na dłoni. Komin wystawiony był oddawna zapewne przez jakiegoś kupca holender­skiego, ponieważ składał się z kafli flamandzkich, przedstawiających różne ustępy z pisma Świętego. Na jednym był Kain, na drugim Abel, dalej córka Faraona — królowa Saby, aniolki spadające z nie­ba na chmurach, podobnych do piernatów; Abra­ham, Baltazar, apostołowie w łódkach, mających kształt półmisków i salaterek, słowem, mnóstwo postaci, zdolnych przyjemnie rozerwać i zająć, po­mimo to, ta twarz Marley'a, od lat siedmiu zmar­łego, jak laska czarodziejska wszystko przyćmiewała. Gdyby każdy polerowany kafel był tylko pustem tłem, zdolnem odbić w swych ramach częściczki

rozerwanych myśli Scrooge'a, rękę wam, że każdy kafelek przedstawiłby wyborną kopię głowy starego Marley'a.

— Głupstwo!—zawołał Scrooge—eh! głupstwo! i zaczął chodzić wzdłuż i wszerz pokoju. Powtórzywszy ten spacer kilkanaście razy, siadł znowu. W chwili, gdy spuszczał głowę na wezglowie fotelu i podniósł oczy do góry, wzrok jego padł przypadkiem na wyszły oddawna z użycia dzwonek przybity nad kominem, a który dla niewiadomych mu celów połączony był drutem z piwnicą. Z nadzwyczajnem zdziwieniem, z niesłychanem przerażeniem ujrzał, że dzwonek, w chwili gdy nań spojrział, zaczął się poruszać, z początku bardzo wolno, łagodnie, wydając dźwięk cichy, stłumiony, potem coraz silniej, gwałtowniej, wreszcie wszystkie dzwonki w całym mieszkaniu zabrzęczały jak na gwałt.

Trwało to krótko — pół minuty, najwięcej minuty; ale ta minuta była dla Scrooge'a godziną. Dzwonki tak jak zaczęły, tak się też zatrzymały, wszystkie na jeden raz. Dźwięk ich ustąpił miejsca odgłosowi metalicznemu, wydobywającemu się z otchłani, jak gdyby ktoś przeciągał długi żelazny łańcuch po wszystkich beczkach złożonych w piwnicy winiarza. Przypomniał sobie wówczas Scrooge, jak mu w dzieciństwie opowiadała niańka, iż w domach gdzie się pokazują duchy, ciągną one za sobą zawsze więzy i okowy.

Drzwi piwnicy otwarły się z przeraźliwym łoskotem, słyszał dokładnie odgłos łańcuchów, wydobywający się w górę, zatrzymujący się w sieni, ro-

snący na schodach, wyraźnie zmierzający w kierunku jego mieszkania.

— Głupstwo! — głupstwo! — wszystko to głupstwo — nie chcę tego przypuścić.

Porządnie się jednak zmieszał, zbladł jak trup, gdy jakieś widmo bez żadnej przeszkody przecisnęło się potężnymi drzwiami, wsunęło się do pokoju i ukazało jego oczom. W chwili, gdy się duch zjawił, małeńki ogień na kominku tlejący wzmógł się gwałtownie, a w trzasku węgla dało się wyraźnie słyszeć: „Poznaję go, poznaję, jest to widmo Marley’a.“ Potem ogień zgasł zupełnie.

Taż sama twarz — zupełnie ta sama. Marley z długim harcapiem, w zwykłej kamizelce, w codziennych krótkich spodniach, w butach węgierskich, których jedwabne chwasty poruszały się w takt z harcapiem, z zaplamionemi połami surduta — a czub — czub zdjęty z czaszki Marley’a. Łańcuch, który włókl za sobą, przytwierdzony u bioder — był bardzo długi, krępował go kilkakrotnie i tworzył rodzaj ogona, składającego się (jak się o tem Scrooge przekonał naocznie) z dziwacznej mieszanki poskuwanych ryglów, kłódek, kluczy, ksiąg buchalteryjnych, opatrzonych mosiężnymi klamrami i z ciężkich worków stalowych. Ciało widma było tak przezroczyste, że Scrooge, wpatrzywszy się weń z natężoną uwagą, widział wyraźnie dwa guziczki, przyszyte z tyłu u stanu surduta.

Scrooge często słyszał, że Marley nie miał serca i wnętrzości, lecz nigdy temu nie wierzył, dziś się jednak przekonał naocznie.



Tak i nie — albowiem jeszcze nie wierzył, chociaż wzrokiem na wylot przesywał widmo, chociaż widział je przed sobą, chociaż czuł lodowaty wpływ oczu, zastygłych pod wrażeniem śmierci, chociaż poznał wyraźnie deseń chustki jedwabnej, pokrywającej wierzch głowy i związanej pod brodą (kupili niegdyś do wspólki tuzin tych chustek) jeszcze nie chciał uwierzyć, walcząc uporczywie z własnymi zmysłami.

— Co to ma znaczyć?—rzekł Scrooge zamykając i krótko.—Czego żądasz odemnie?

— Wiele — bardzo wiele!

Jest to głos Marley'a — teraz już nie ma wątpliwości.

— Kto jesteś?

— Zapytaj raczej, kim byłem?

— Kimże więc byłeś?—rzekł Scrooge podnosząc głos.—Jak na upiora, zbyt chwytasz za słówka.

— Za życia byłem twoim współnikiem — zwałem się Jakób Marley.

— Czy mógłbyś ... czy możesz usiąść—zapytał Scrooge, przypatrując mu się z niedowierzaniem.

— Mogę.

— Siadaj więc.

Scrooge zrobił powyższe zapytanie, ponieważ wątpił, aby tak przezroczyście widmo posiadało wszystkie warunki cielesne, konieczne do zajęcia miejsca na krześle, czuł więc, że jeśli przypadkiem duch nie będzie w stanie spełnić tej propozycji, nastąpi zaraz wyjaśnienie i wytłomaczenie

17685



BIBLIOTEKA MIEJSKA im. H. SIENKIEWICZA

PRUSZKOWIE

Nr. 5479.

całego zjawiska. Lecz widmo siadło naprzeciw niego, po drugiej stronie komina, bez najmniejszej trudności.

— Jeszcze we mnie nie wierzysz—rzekł duch.

— Nie wierzę—odpowiedział Scrooge.

— Jakiegoż więc żądasz dowodu, oprócz świadectwa własnych zmysłów?

— Sam nie wiem.

— Czy wątpisz o dokładności zmysłów, wzroku, słuchu?

— Wątpię, ponieważ najmniejsza rzecz może je nadwyżyć; lekka niestrawność żołądkowa oddziaływa na zmysły i dla tego może ty jesteś niedogotowanym kawalkiem wołowiny, niestrawioną łyżeczką musztardy, sera — albo ja wiem? Czuć cię wszystkiem, ale nie trumną.

Scrooge nigdy nie dowcipkował, na ten raz uciekł się do tego środka, chcąc tym sposobem zyskać na czasie, zebrać roztargnione myśli, przeczyć strach, albowiem głos widma przejmował go dreszczem i ścinał mu szpik w kościach.

Siedzieć przez chwilę, z wzrokiem wlepionym w te oczy nieruchome, szkliste, było dla Scrooge'a piekielną męczarnią. Oprócz tego w powietrzu, otaczającym widmo, było coś nadludzkiego, szatańskiego. Scrooge nie tylko czuł, ale widział to powietrze, chociaż bowiem widmo najnieruchomiej siedziało, wszelako jego włosy, poły ubioru, chwasty od butów, w ciągłym zostawały poruszeniu, jakby pod wpływem wilgotnej i ciepłej pary, wydobywającej się z kotła.

— Czy widzisz to pióro?—rzekł nagle Scrooge do ducha, chcąc się otrząsnąć z przerażenia, a zarazem na chwilę odwrócić od siebie zimny wzrok widma.

— Widzę—odpowiedział upiór.

— Kiedy wcale nie patrzysz w tę stronę—dodał Scrooge.

— To mi jednak nie przeszkadza widzieć doskonale—rzekł duch.

— Otóż—mówił dalej Scrooge—przypuśćmy, że je połknąłem. Ileż się z tego wywiąże cierpienie, chorób, gorączek, widziadeł. Wszystko z mojej winy i mego własnego utworu. Głupstwo! powtarzam — głupstwo!...

Na ten wyraz duch zawył przeraźliwie i wstrząsnął łańcuchami, które wydawały szcęk przeciągły, grobowy, straszliwy, tak, że Scrooge, aby nie upaść, wpił się paznogciami w poręczę fotelu.

Lecz o ileż wzmogło się jego przerażenie, gdy duch, któremu zapewne za gorąco było w pokoju, zdjął chustkę, którą miał związaną głowę, a wtedy dolna szcęką z suchym chrzęstem opadła mu na piersi.

Scrooge padł na kolana i zakrył twarz rękoma.

— Litości!—zawołał—litości! straszliwy cieciu! Pocóż przychodzisz mnie dręczyć?

— Duszo podła i ziemską!—odpowiedziało widmo—wierzyszże, czy nie wierzysz teraz?

— Wierzę—jęknął Scrooge—muszę wierzyć.

Lecz dla czegoż duchy wałęsają się po ziemi, dla czego mnie prześladują?

— Przeznaczeniem jest każdego człowieka— mówiło widmo—aby żył z bliźnimi, uczestniczył w ich zajęciach, miewał się do ich spraw, przestawał z nimi, wspólnie się radował i wspólnie cierpiał, czego jeśli zaniedbał za życia, dusza jego skazana jest na tułactwo po świecie (oh! ja nieszczęśliwy!) i musi być bezużytecznym świadkiem rzeczy, w których nie może już brać udziału; kiedy przeciwnie za życia mogła była używać razem z innymi i pracować dla ich i własnego szczęścia.

Duch jęknął znowu, zadzwonił łańcuchami i załamał rozpaczliwie ręce.

— Jesteś okuty! — rzekł Scrooge drżący — powiedz mi za co?

— Dźwigam kajdany, którem sam kował przez całe życie — odpowiedziało widmo. — Tak jest, sam spajałem ogniwo z ogniwem, sam dorabiałem łokieć za łokciem, sam, swobodnie, dobrowolnie skrepowaleam tym łańcuchem ciało moje i dźwigać go będę przez całą wieczność. Dziwnemi ci się wydają te więzy, — przypatrz się im bliżej.

Scrooge drżał jak liść.

— Może chcesz poznać—mówił dalej—długość i ciężar niezmiernego łańcucha, jaki ty sam ciągniesz za sobą. Dziś jest temu lat siedm, gdy twój był równie długi i ciężki jak ten, który tu widzisz. Dorabiałeś go potem przez lat siedm. Porządny musi być już ten łańcuch.

Scrooge obejrzał się na wszystkie strony, przekonany, że się ujrzy okuty w kilkadziesiąt sążni żelaznej liny, lecz nie zobaczył.

— Jakóbie!—rzekł tonem błagalnym—pociesz mój Jakóbie Marley, powiedz mi co innego. Rzuć mi kilka wyrazów pociechy.

— Nie mam prawa, nie mam władzy pocieszyciela. Pociechy przychodzą zkaądinąd Ebenezerze Scrooge, niosą je inni posłańcy innym jak ty ludziom. Nie mogę ci wszystkiego opowiedzieć, związane mam usta. Mało mi pozostaje czasu. Nie wolno mi odpoczywać, nie wolno się zatrzymywać, nie wolno długo na jednym przebywać miejscu. Wiesz dobrze, że duch mój nigdy się nie przebił po za ciasny obręb naszego kantoru, że nigdy nie przekroczył progów kasy, dla tego teraz tyle ciężkich podróży mam jeszcze do odbycia.

Scrooge miał zwyczaj w chwilach głębokiego zamyślenia wsadzać ręce do kieszeni. Zastanawiając się nad wyrazami widma powtórzył ten giest nie podnosząc się z ziemi.

— Zapewne... straszne to wędrówki... musiałeś się bardzo opóźnić za życia.

— Opóźnić! powiedz zaniedbać! — rzekł duch.

— Od siedmiu lat zmarły—wybąknął Scrooge—i ciągle w drodze.

— Tak, przez cały ten czas, bez odpoczynku, bez wytchnienia; wieczne zgryzoty i udręczenia sumienia.

— Czy szybko podróżujesz?

— Na skrzydłach wiatru.

— Przez ten czas ileż to zwiedziłeś krajów?

Upiór, usłyszawszy te wyrazy, wydał przytłumiony okrzyk i taki sprawił szcęk, że Scrooge'owi włosy powstały na głowie i oddech w gardle zeszywniał.

— Okuty, uwięziony, skazany na tułactwo, za to, żem zapomniał, iż każdy człowiek powinien brać udział w wielkiej pracy ludzkości; nakazanej przez Istotę Najwyższą, za to, żem nie pamiętał, iż cała wieczność żalów, skarg i cierpień nie wynagrodzi chwil straconych, które dobrze można było użyć za życia. A jednak ciągle postępowałem tą drogą zapomnienia, tak, ciągle nią postępowałem.

— Byłeś zawsze bardzo sumienny, bardzo akuratywny, zręczny i obrotny — wtrącił Scrooge, który w tej właśnie chwili przebiegał myślą własny swój żywot.

— Interesa! — jęknął duch, znowu załamując ręce.—Interesa! Czyż ludzkość była moim interesem? Miłość bliźniego, litość, pobłażanie i dobroć — to powinny być moim interesem; tak, to powinno być mnie jedynie zajmować. Operacje handlowe są kroplą wody w wielkim oceanie spraw ludzkości, do których Bóg powołuje każdego człowieka.

Wzniósł w górę ręce obciążone okowami, jak gdyby chciał okazać Scrooge'owi cały owoc swych prac, zabiegów i próżnych wysiłen: następnie rozpaczliwie opuścił je ku ziemi.

— W teraźniejszej mianowicie epoce, w chwili

kończącego się roku cierpię najdotkliwsze męki. Dla czegoż, ach dla czegoż, będąc na ziemi, przesuwałem się w tłumie bliźnich z oczyma wlepionymi w sprawy doczesne, dla czegoż nie wzniosłem ich nigdy w niebo, ku tej gwiazdzie cudownej, przewodniczącej królów do żłobu Zbawiciela? Jak gdyby na ziemi zabrakło już ubogich i nędznych mieszkań, do których mogła mnie poprowadzić jej Boska światłość!

Scrooge niezmiernie się przeraził, słysząc te dziwne i niezrozumiałe wyrazy, wyrzeczone to-nem poważnym i lkającym, drżał i trząsał się jak w febrze.

— Posłuchaj mnie — zawołał duch — czas ucieka, moja chwila nadchodzi!

— Słucham — rzekł Scrooge płacząco — słucham, lecz oszczędzaj mnie Jakóbk, ulituj się nademną, nie bądź zbyt wymowny.

— Nie wiem, nie umiem ci zdać sprawy, z jakiego dopuszczenia stanąłem dziś przed tobą w postawie ziemskiej i dotykanej. Niejednokrotnie, często, bardzo często, znajdowałem się przy tobie niewidzialny.

Na tę niemiłą wiadomość Scrooge'a przebiegl dreszcz śmiertelny; zaczął ocierać pot lodowaty, płynący mu strumieniem z czoła.

— Dziś przyszedłem cię ostrzedz, iż pozostaje ci jeszcze promyk nadziei, środek ratunku i nadzieja uniknięcia przeznaczenia, jakie mnie dotknęło; tę nadzieję ratunku i ocalenia podaję ci Ebe-nezarze.

— Tyś był mi zawsze dobrym i życzliwym przyjacielem, Marley'u, tyś... tyś mi zapisał majątek...—rzekł Scrooge.

— Nawiedzą cię trzy jeszcze duchy, dodało widmo.

Scrooge zbladł jak trup.

— Więc to ma być ta nadzieja ratunku i zbawienia, o której mi mówisz Jakóbie?—zapytał konającym głosem.

— Tak.

— Ja... ja... jabym wolał co innego...—rzekł Scrooge—tak sądzę...

— Bez tych odwiedzin—mówił duch—nie ma dla ciebie ratunku. Przygotuj się i czekaj pierwszych odwiedzin jutro, gdy na wieży wybije godzina pierwsza po północy.

— Czyby wszyscy trzej nie mogli przyjść od razu? toby im i mnie oszczędziło czasu—podsunął Scrooge.

— Oczekuj drugiego o tejże godzinie nocy następnej, trzeciego w trzecią noc z kolei, w chwili ostatniego uderzenia północy. Mnie już nigdy nie ujrzysz, lecz dla twego własnego dobra, dla twego zbawienia pamiętaj o tem, co zaszło między nami.

To wyrzekłszy, widmo podniosło chustkę i podwiązało nią głowę. Domyślił się tego Scrooge, posłyszawszy chrzęst zębów, gdy obie szczęki-znowu się razem zetknęły. Wzniósł wtedy oczy i ujrzął, że duch stał przed nim i poprawiał na sobie łańcuch.

Widmo oddalało się cofając... za każdym kro-

kiem okno z wolna się odmykało, tak, że gdy duch przysunął się do krawędzi, całkiem już było otwarte. Dał znak Scrooge'owi, aby się przybliżył. Usłuchał. Gdy byli od siebie o dwa kroki, wznosił rękę i wskazał mu, aby nie szedł dalej. Scrooge się zatrzymał, nie tyle przez posłuszeństwo, ile ze strachu i obawy, w chwili bowiem gdy widmo podnosiło rękę, usłyszał w powietrzu niepokojący szmer, jakieś pomieszane odgłosy jęków i rozpacz, skarg i smutnych żalów, łkań i utyskiwań. Widmo wsłuchiwało się przez chwilę, westchnęło głęboko, złało się westchnieniem z tym czyścowym chórem i rozplynęło na tle bladej i ponurej nocy.

Scrooge gorączkowo zbliżył się do okna i pchnięty niewidzialną siłą wyrzwał na zewnątrz.

Powietrze pełne było błędnych cieniów i ogników, dusz pokutujących, wydających w przelocie głębokie westchnienia. Każdy cień dźwigał okowy podobne do łańcucha Marley'a, niektóre skute były po kilkoro razem, żaden nie bujał wolno. Wielu Scrooge znał osobiście; — z jednym był nawet w ścisłych stosunkach handlowych — poznał go po białej kamizelce, złotych okularach i złośliwym uśmiechu. Miał do prawej nogi przybitą ogromną kulę i olbrzymi łańcuch, jęczał i czynił wysilenia, aby przyjść w pomoc biednej kobiecie z dzieckiem na ręku, żebrzącej o wsparcie. Udręczenia i katusze cieniów na tem głównie polegały, iż napróżno starali się wyświadczyć jaki dobry uczynek, przez zaniedbanie którego za życia bliźniemu sprawili nieszczęście. Wszystko było po niewczasie.

Czy te fantastyczne istoty rozpląnęły się w mgle, czy też mgła je owionęła, Scrooge nie mógł tego rozpoznać, jednak cienie i głosy niktę stopniowo, przypadły gdzieś w przestworach, powróciła noc taka jaka była w chwili, gdy Scrooge wchodził do mieszkania. Zamknął okno starannie, obejrzał drzwi, któremi się duch prześliznął. Zamknięte były na dwa spusty jak przedtem, klamka, klucz i zasówka nie nosiły najmniejszego znaku poruszenia. Już, już chciał wymówić wyraz: głupstwo! lecz zastanowił się w połowie. Czy to skutkiem pracy w kantorze, czy to skutkiem wysień i wrażeń poprzednio doznanych, czy to skutkiem rozmowy z widmem, czy z powodu późnej godziny, czuł się niezmiernie zmęczonym; zawlókł się do łóżka, rzucił się nie rozbierając i padł pogrąony we śnie letargicznym.

PIERWSZY Z TRZECH DUCHÓW.

Gdy się Scrooge ocknął, tak było ciemno, że patrząc z łóżka mógł zaledwie rozeznaczyć przezroczyście okno na tle szarych ścian pokoju. Usiłował przebić ciemność oczyma łasicy, gdy zegar sąsiedniego kościoła wybił cztery kwadranse. Scrooge nadstawił oba uszy, chcąc się dowiedzieć godziny.

Ku wielkiemu jego zdziwieniu, ciężki dzwon wybił sześć, siedm, potem ośm, następnie dziewięć i tak dalej, aż do dwunastu; wtedy się zatrzymał. Północ! Było kilka minut po drugiej gdy się spać położył. Widać, że zegar źle idzie. Może sopel lodu wpadł w środek werku. Północ!...

Scrooge nacisnął sprężynę leżącego przy nim repetyera, aby sprawdzić niedokładność zegara wieżowego. Małe młoteczek zegarka wybił z szybkością dwanaście uderzeń i zatrzymał się.

— Co to znaczy?! To być nie może — rzekł Scrooge — jabym miał przespać dzień cały i część

następnej nocy? Nie może być, aby się coś przytrafiło słońcu i żeby w południe miała być północ.

Myśl ta zaczęła go cokolwiek niepokoić; wyskoczył z łóżka i poomacku zbliżył się do okna. Musiał rękawem szlafroka przetrzeć zamarznięte szyby, aby mógł cokolwiek dojrzeć, a i tak nie wiele widział. Spostrzegł tylko, że mgła była zawsze bardzo gęsta, a mróz siarczysty, nie słyszał na zewnątrz żadnego szmeru, żadnego ruchu, żadnego biegania, co jednak miałyby niewątpliwie miejsce, gdyby noc wygnała dzień i objęła nieprzerwane panowanie nad światem! Odetchnął spokojniej, bo w cóżby się obróciły jego weksle, płatne we dnie, a nie w nocy.

Scrooge, wracając do łóżka, zaczął myśleć, przemyślać, znowu myśleć i zastanawiać się, nic a nic nie pojmując. Im więcej się zastanawiał, tem więcej się wikłał — im bardziej odtrącał od siebie te myśli, tem więcej jeszcze myślał. Widmo Marley'a wielce go niepokoiło. Ilekroć po głębokim rozbiornie wyrozumował sobie, że wszystko było snem, przywidzeniem, umysł jego jak sprężyna, którą przestaną naciskać, odskakiwał i nagle powracał do pierwszego położenia, przedstawiając się w postaci następnego zagadnienia: Byłże to, czy nie był sen?

Scrooge pozostał w tym stanie dopóki zegar nie wydzwonił trzech kwadransy; — wtedy przypomniał sobie nagle, że widmo zapowiedziało mu odwiedziny na godzinę pierwszą. Postanowił czuwać do tej chwili, co było bardzo naturalne, tak

bowiem był rozdrażniony, iż łatwiejby mu było schwycić księżyc zębami, aniżeli usnąć na prawdę.

Kwadrans wydał mu się niezmiernie długim, tak długim, iż kilkakrotnie sądził, że się zdrzemnął i nie słyszał bijącej godziny. Wreszcie dźwięk zegara uderzył czujne jego ucho.

— Bę — kwadrans—rzekł Scrooge.

— Bę — bę — wpół.

— Bę — bę — bę — trzy kwadranse.

-- Bęęę -- pierwsza, pierwsza! — wykrzyknął z radością—a nikt nie przybywa.

Wymówił to zanim ucichł zegar, lecz w chwili, gdy ostatni, przeciągły, poważny, grobowy dźwięk niknął w powietrzu, w pokoju zajaśniało żywe światło i rozsunęły się franki, wiszące nad jego łóżkiem.

Rozsunęły się franki, tak jest, upewniam was; nie te, które wisiały u nóg, lub w głowach, lecz boczne, ku którym miał twarz zwróconą. Rozsunęły się gwałtownie, a Scrooge, zerwawszy się z łóżka, spotkał się oko w oko z nądziemskim zjawiskiem.

Dziwna to była postać... dziecięca, a zarazem podobna do starca, który w dalekiej, bardzo dalekiej odległości, maleje w naszych oczach i zmniejsza się do kształtu dziecka. Włosy jego spływające po szyi i ramionach były bieluteńkie, jak gdyby skutkiem starości, na licu jednak nie było najmniejszej zmarszczki, twarz gładka jak atlas błyszcząca najdelikatniejszym rumieńcem. Ramiona miał długie i żyłaste, tak samo i ręce, jak gdyby posiadał niezwykłą siłę. Nogi kształtne, zupełnie były na-

gie. Miał na sobie zarzuconą tiunikę najczystszej śnieżnej białości, ściągniętą w biodrach błyszczącym pasem, żywe rzucającym światło. Trzymał w ręku gałązkę świeżej choiny, a przez szczególną sprzeczność z tą oznaką zimy tiunika jego przybraną była w wieńce i girlandy z najpiękniejszych kwiatów letnich. Co jednak było najdziwniejsze, to wytryskujący z wierzchołka głowy strumień światła, przy blasku którego wszystko najdoskonalej można było widzieć; — zamiast kapelusza, trzymał w ręku wielki spiczasty gasielnik, którym zapewne w chwilach smutku lub zamyślenia nakrywał głowę i przytłumiał rażące światło. Wpatrując się bliżej, Scrooge nową dostrzegł osobliwość. Ponieważ, jak wam mówiłem, pas widziadła był jaśniejący, polyskiwał więc raz w tym, drugi raz w innym punkcie; tak, że to miejsce pasa, które przed chwilą błyszczało, nagle stawało się zupełnie ciemnem, a natomiast niespodziewanie jasność biła z innego punktu; — tym samym drganiom i przeobrażeniom ulegała cała postać. Raz zdawało się, że to jest istota o jednej tylko ręce, o jednej nodze; to znowu o dwudziestu może rękach i o dwudziestu nogach; chwilami ukazywał się tułów bez głowy, natychmiast potem głowa bez kadłuba, a niknące nagle członki pogrążyły się w nieprzedartej ciemności, żeby potem, zbiegłszy się znowu, uwydatnić postać taką, jaką była w pierwszej chwili ukazania się.

— Panie—zapytał Scrooge—czy ty jesteś duchem, którego przyjście zapowiedzianem mi było?

— Ja nim jestem.

Głos był słodki i przyjemny, bardzo cichy, stłumiony, jak gdyby dolatujący z daleka.

— Któż jesteś?—rzekł Scrooge.

— Jestem duch ubiegłych wigilii Bożego Narodzenia.

— Czy oddawna ubiegłych?

— Tak i nie.

Scrooge, nie wiedząc sam dla czego, uczuł gwałtowną chętkę widzenia ducha z głową nakrytą gasielnikiem i po chwili wahania prosił go o to.

— Jaktó!—zawołało widmo — chciałbyś więc natychmiast przygasić światło niebieskie, jakie ci przynoszę? Nie dość, że samolubstwo ludzi sprawiło mi ten kapelusz i zmusza mnie nieraz wciskać go na głowę, abym nie oświecał mym blaskiem zbrodni i nadużyć, hańbiących ród ludzki!?

Scrooge z pokorą wymawiał się, że nie miał żadnego zamiaru obrażenia go. Potem ośmielił się zapytać, co go rzeczywiście sprowadza?

— Twe szczęście—odpowiedziało widmo.

Scrooge wynurzył najgłębszą wdzięczność, lecz nie mógł zaprzeczyć sobie, że sen niezakłócony i noc zupełnie spokojna byłyby mu także pomogły do szczęścia. Duch musiał dosłyszeć jego wewnętrzną rozmowę, ponieważ dodał:

— Wreszcie — twoje nawrócenie; miej się na baczności!

Mówiąc to, wyciągnął rękę i zlekka schwycił go za ramię.

— Powstań — i chodź ze mną.

Napróżno Scrooge byłby go chciał przekonać, że ani czas, ani godzina nie mogą sprzyjać przechadzce, że miał wygrzane łóżko, a na dworze było przejmujące zimno, że był za lekko ubrany, że miał tylko szlafrok, pantofle i cienką szlafmycę, a nade wszystko, że strasznie był zakatarzony. Nie można się było oprzeć uściskowi ducha, lekkiemu jak dotknięcie ręki kobiecej, silnemu jak kleszcze żelazne. Podniósł się, lecz spostrzegłszy, że duch zmierza do okna, złożył ręce i pochylił się w postawie błagalnej.

— Jestem śmiertelny—zawołał—zatem skłonny do upadku.

— Pozwól, abym cię tylko *tu* dotknął — rzekł duch, kładąc mu rękę na sercu — a wyjdzieź zwyciężko z prób najcięższych i jeszcze niebezpieczniejszych.

Tak rozmawiając przemknęli się przez okno i znaleźli się na gościńcu, biegnącym środkiem pól i łąk. Miasto znikło w dali, bez śladu. Jednocześnie mgła i ciemność nocy ustąpiły miejsca jasnemu zimowemu dniowi; — błyszczący śnieg pokrywał ziemię.

— Mój Boże, mój dobry Boże — zawołał Scrooge, składając ręce i wodząc zdumiony wzrok na wszystkie strony. — Wszakże to w tych miejscach się wychowałem — tu, tu spędziłem dziecięce moje lata!

Duch spojrział nań z dobrocią. Słodki ten wzrok, trwający chwilę, obudził wzruszenie starca. Uczuł się pod wpływem tysięcznych wrażeń, wonie-

jących w powietrzu, a każde wrażenie było w związku z tysiącem myśli, marzeń, nadziei, radości, zajęć, kłopotów, od dawna — od bardzo dawna zapomnianych.

— Usta tve drżą—rzekł duch.—Co ci jest?

— Ech! to nic, nic — odpowiedział Scrooge, głosem nadzwyczaj wzruszonym. — To tak tylko! prowadź mnie gdzie chcesz, błagam cię.

— Czy przypominasz sobie tę drogę?

— Jakto, czy ją sobie przypominam!—zawołał Scrooge z zapalem — mogę iść po niej z zawiązanymi oczyma.

— Dziwna rzecz, żeś o niej przez tyle lat zupełnie zapomniał—dodał duch.

Szli tak wzdłuż drogi, a Scrooge poznawał każde drzwi, każdą chałupę, każdy płot, każde drzewo, aż wreszcie ukazała się w dali mała wioseczka, kościółek, mostek i wązka, a kręta i spadzista struga. Naraz wybiegło tu i owdzie kilka koników, siedzieli na nich małe chłopcy, wołający radośnie i wzywający po imieniu innych chłopczyków, jadących w chłopskich wozach i mieszczkańskich bryczkach. Cała ta dzieciarnia była bardzo ożywiona—tysiące okrzyków rozchodziło się na wszystkie strony, aż wreszcie poruszone tym hałasem powietrze zawtórowało im radosnym i wesołym podmuchem wiatru.

— Są to cienie rzeczy i istot przeszłych—rzekł duch. — Nie wiedzą wcale o naszej obecności, nie domyślają się tego.

Wesołe grono małych podróżników zbliżało się coraz bardziej.

Scrooge poznał ich i każdego nazywał po imieniu.

— Mój Boże — Jaś — tak, Jaś — Franuś — a tu, tu Piotrek — tak, Piotruś. Co się ze mną dzieje?

Czegoż się tak cieszył jak nigdy, dla czegoż oko jego, zwykle ponure i przyćmione, rzucalo radosne promienie, dla czegoż serce mu biło gwałtownie, przy każdym spotkaniu? Dla czegoż mało nie wyskoczył ze skóry, usłyszawszy jak sobie życzyli wzajemnie wesołych świąt, gdy który na skrócie drogi opuszczał gromadę i w boczną oddalał się stronę, prowadzącą do mieszkania rodziców, krewnych lub przyjaciół? Powiedźcie mi, dla czego? Czemże było dla Scrooge'a Boże Narodzenie, co go mogło obchodzić Boże Narodzenie, jaki mu zysk kiedy przyniosło?

— Szkoła nie zupełnie jeszcze jest opuszczona — rzekło widmo. — Pozostało tam samotne, zapomniane przez przyjaciół dziecię!

Scrooge westchnął głęboko.

Minęli gościniec i skierowali się krętym, dobrze Scrooge'owi znajomym manowcem i zbliżyli się wkrótce do wielkiego budynku z cegieł nietynkowanych, ciemno - czerwonych; na dachu, pod szczytem, zawieszony był dzwonek. Budynek był obszerny, a powierzchowność jego świadczyła o zmienności losów — ściany były wilgotne i omszałe, okna potłuczone, drzwi popaczone. Kury gda-

kały i biegaly po wszystkich kątach — w stajniach, szopach i na dziedzińcu rosła trawa i zielsko. Ze wnętrzej części odpowiadało wewnątrz! Wszedłszy w ponury przedsionek i rzuciwszy okiem przez otwarte drzwi kilku obszernych pokoi, dawało się widzieć umeblowanie skromne, biedne; — czuć było w powietrzu zimną, samotną woń długiego zamknięcia, wszystko oddychało dotkliwym niedostatkiem, który się kazał domyślać, że mieszkańcy wstawali przede dniem dla zarobienia kawałka chleba powszedniego, a i tak zapewne często kładli się spać głodni.

Duch i Scrooge, przeszedłszy sień, zbliżyli się do drzwi, leżących na stronie przeciwległej. Otworzyły się przed nimi i ukazała się sala długa, smutna, pusta, a szeregi ławek i stołów szkolnych z sośniny podwyższały jeszcze tę samotnię. W rogu jednej ławki, w bliskości tlejącego ognia, siedziało samotne dziecisko, pogrążone w czytaniu. Na ten widok Scrooge usiadł na ławce i gorzko zapłakał, poznawszy w tem dziecku *siebie*, jak zwykle wówczas samotnego, opuszczonego, zapomnianego.

Najmniejszy szmer, pisk myszy wojujących po kątach i w dziurach, szelest wiatru poruszającego suchemi gałęziami wycieńczonej i zeschniętej topoli, skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi, trzask ognia w kominie, krople wody spadające z rury wpół obmarzniętej studni, słowem, najniewyrażniejszy szmer, z kądkolwiek pochodzący, odbijał się w rozczulonym sercu Scrooge'a i podwajał strumienie łez płynących mu z oczu.

Duch dotknął jego ręki i wskazał mu dziecię — tego drugiego *jego*, zajętego czytaniem.

Nagle jakiś człowiek, dziwacznie ubrany, widzialny tak jak ja, albo wy, którzy to czytacie, ukazał się po za oknem. U pasa miał zawieszoną siekierę i prowadził za cugle osła, obładowanego drzewem.

— Ach, to Ali Basza! — zawołał Scrooge w milczeniu — mój dobry, mój poczciwy Ali Basza! Poznaję go, poznaję. Raz w wigilię Bożego Narodzenia, gdy to dziecię siedziało, tak jak dziś, samotne i opuszczone, przyszedł je odwiedzić, zabawić; ach jakżeśmy się śmiali, jakeśmy krzyczeli!

Co za dziwowisko dla poważnych mężów giełdy, gdyby byli spostrzegli Scrooge'a, rozsypującego marnotrawnie cały zasób zapалу, energii i uniesień dla tak błahych wspomnień, gdyby byli słyszeli, jak wpół płacząc, wpół śmiejąc się, rozliczne wydawał głosy, gdyby ujrzeli twarz jego niezwykłym błyszczącą ogniem.

Zbliżył się do książki, którą czytało dziecię. Tak! — zawołał — ta sama książka: *Robinson Kruzoe*. Papuga, widzę ją, zielony korpus, żółty ogon, czub na głowie. „Biedny Robinson Kruzoe,“ krzyczała, ilekroć wracała do mieszkania, opłynawszy w łodzi bezludną wyspę.

— Ty wiesz — rzekł do ducha. — Papuga Robinsona, owa papuga! Ach otóż *Piątek*; biegnie w cwał, aby uniknąć śmierci. Ludożercy! Prędkiej, prędzej, odważnie. Ach tak, dobrze!

Potem przyskakując z niezwykłą sobie, gorączkową ruchliwością od jednego do drugiego przedmiotu, zdjęty współczuciem dla tamtego *siebie*, „Biedne dziecię!”—zawołał—i wybuchnął głośnym płaczem.

— Chciałbym — rzekł po chwili, otarłszy oczy i kładąc rękę do kieszeni — chciałbym, ale już po niewczasie.

— Cóż takiego?—zapytał duch.

— Nic, nic! Przypomniałem sobie dziecię, które wczoraj wieczór zaśpiewało pod moimi drzwiami: Ej kolenda! kolenda! chciałbym mu coś dać! — Mój Boże!

Duch uśmiechnął się łzawo, dał mu ręką znak mileżenia i rzekł:

— Otóż inna wigilia Bożego Narodzenia.

W jednym oka mgnieniu obraz się zmienił. Scrooge ujrzał się podrosłym, sala była brudniejsza i bardziej jeszcze ponura! Futryny okien potrząskane, na podłodze leżały szczątki opadłego z sufitu wapna, po ścianach tu i owdzie przebijały pokłady trzciny — upłynęło lat parę. Tak było w istocie. Poznał, że wszystko było jak najdokładniejsze, znalazł się sam, sam jeden, wówczas gdy wszyscy inni pojechali przepędzić wesołe dni świąteczne na łonie rodzinnem.

Teraz nie czytał, lecz miotany rozpaczą przechadzał się wzdłuż i wszerz po sali. Scrooge spojrział na widmo, potem smutnie wstrząsnął głową i zwrócił ku drzwiom wzrok pełen obawy i niepokoju.

Luty
Włocławek #

Otwarły się drzwi. Dziewczynka, znacznie młodsza niż student przebiegający po sali, wpadła jak strzala, podskoczyła, zarzuciła mu ręce na szyję, ucałowała go kilkakrotnie, wołając: Kochany, drogi braciszku!

— Przybywam po ciebie zabrać cię do domu, drogi bracie—rzekła, klaszcząc w dłonie i zanosząc się z radości od śmiechu.—Do domu! do domu! do domu!

— Fanny! najdroższa Fanny! do domu? — powtórzył młodzieniec.

— Tak, duszo moja, na dobre do domu, na prawdę. Papa jest teraz taki dobry w porównaniu z tem co było, że dom nasz jest małym rajem! Pewnego wieczora, gdym szła spać, jak najczulej ze mną rozmawiał; ośmielona tem, zapytałam go, czy nie mógłbyś przyjechać do nas; odpowiedział, że i owszem, że możesz i posłał mnie po ciebie. Jesteś już mężczyzną—dodała, patrząc mu w oczy—nigdy tu nie powrócisz. Przedewszystkiem, spędzimy razem święta Bożego Narodzenia w najweselszy w świecie sposób!

— Moja droga, moja kochana opiekunko!—zawołał rozrzuwniony chłopiec.

Ona się śmiała i klaskała w ręce, potem chciała go pocałować w główkę, lecz nie mogła dostać tak wysoko—znowu się śmiała, podskoczyła na palcach i dokazała swego. Wreszcie pociągnęła go ku drzwiom. Szedł za nią.

W sieni odezwał się głos surowy, przywykły do rozkazywania.

— Podawajcie kuferek i rzeczy *p. Scrooge*— i ukazał się *p. profesor* we własnej osobie; spojrzal na Scrooge'a wzrokiem przyjacielsko - groźnym i w wielkie wprawił chłopca pomieszanie, uściśnawszy go za rękę na znak pożegnania. Następnie zaprowadził młodą parę do drugiego pokoju, zimnego jak lodownia, do prawdziwej piwnicy, służącej za salon bawialny. Podano butelkę bardzo lekkiego wina i kawałek bardzo ciężkiego ciasta; częstował tem swych gości, poczem szepnął do ucha służącej, tak jednak, że oni słyszeli, aby zaniósła kieliszek poczytliłowi. Ten jednak odpowiedział, że jeżeli to jest toż samo wino, którem go kiedyś w tym domu częstowano, dziękuje serdecznie, ale woli szklankę wody, gdyż mu się zdaje być tęższą. Tymczasem na wierzchu powozu przymocowano kuferek *pana Scrooge*; dzieci pożegnały jak najserdeczniej nauczyciela, wskoczyły do powozu, który szparko sunął po skrzypiącej drodze, znacząc swój ślad pasmem podskakującego śniegu, jak morska piana. W powozie całował ręce siostry i tysięczne składał jej dzięki.

— Była to delikatna i wątła istota, gięła się pod powiewem silnego wiatru, lecz wielkie i szlachetne miała serce—rzekł duch.

— Oh! tak, masz słuszność, anielskie serce, ja temu nigdy nie zaprzeczę. Boże mnie uchwaj!

— Umarła zamężna — dodał duch — zdaje mi się, że zostawiła dwoje dzieci?

— Jedno— odpowiedział Scrooge.

— Prawda, jednego syna, twego siostrzeńca. Scrooge się zarumienił, odwrócił oczy, spuścił głowę i wybąknął: „Tak.“

Chociaż tylko co opuściliśmy mury szkolne, w jednej chwili, nie wiem sam jakim cudem, Scrooge i duch znaleźli się na ulicy ludnego miasta. Tam i sam przesuwały się postacie ludzkie; cisnęły się i krzyżowały po bruku przypruszonym śniegiem wozy, bryczki, powozy, słychać było szmer, ruch, życie miejskie. W oknach sklepów urządzone wystawy świadczyły o niezwykłej uroczystości; przystąpiwszy bliżej, poznali, że wszystko przygotowane było na święta Bożego Narodzenia. Stosy strucli, pierników, ciast, gruszek, jablek, góry ryb, strojne choiny. Pyszne rzeczy! Wieczór się zbliżał, luna biła ze wszystkich okien, dym, przejęty wonnościami kuchennymi, walił się ze wszystkich kominów.

Widmo zatrzymało się u drzwi jakiegoś sklepu i zapytało Scrooge'a, czy poznaje to miejsce.

— Jakto, chcesz chyba ze mnie żartować. Wszakże w tym sklepie byłem chłopcem, a potem subjektem.

Weszli. Na widok wysokiego jegomości w peruce, siedzącego jak na koniu na wysokim krześle śrubowanym, przy wysokim kantorku, Scrooge niezmiernie wzruszony zaczął się trząść, oglądać, blendnąć i czerwienić, wreszcie zawołał:

— Ależ to nasz stary Fezziwig, nasz pryncypał, niech go Bóg błogosławi; ja chyba oszaleję, Fezziwig zmartwychwstał?!

— Uspokój się—rzekł duch.

Fezziwig położył pióro, spojrział na zegar, wyjął z kieszeni zegarek, bardzo mało mniejszy od tego, który wisiał na ścianie, zatarł ręce, poprawił perukę, obciągnął kamizelkę, której koniec podniósł mu się prawie pod szyję, rozśmiał się, ale jak — nie on się rozśmiał, ale wszystko się śmiało z czego się składał, zaczawszy od butów aż do peruki; powiadam wam, że kiedy się śmiać, to już całym sercem, całą duszą, całym ciałem—i zawołał głosem potężnym, grzmiącym, pełnym, okrągłym, ale zawsze śmiejącym:

— Hola, hej, Ebenezer! Dick!

~~9150~~

Scrooge (ale proszę nie mieszać, proszę uważać, nie ten Scrooge, który był z duchem, tylko tamten drugi—rozumiecie mnie), Scrooge tedy już nie student, lecz dorosły młodzian, wpadł do pokoju z drugim młodzieńcem.

— To Dick Wilkins—zawołał, trącając ducha w ramię. — Z pewnością Dick Wilkins. Razem ze mną był tu subjektem. Dalibóg, poznałem go na pierwszy rzut oka. Dick! pocziwy Dick, bardzo był do mnie przywiązany, przyjaźniliśmy się serdecznie.

— No, dalej moje dzieci—zawołał Fezziwig.— Dość na dziś roboty. Wigilia Bożego Narodzenia! Wielkie święto—Boże Narodzenie! Ebenezerze. Boże Narodzenie—Dick! Prędko, wynosić okiennice, zamykać sklep—wolał pryncypał zacierając ręce.— Cóż to, jeszcze tu stoicie jak słupy! Jeszczeście nie zamknęli? Marsz!

Nie uwierzycie nigdy, z jakim pośpiechem su-

nęli. Wypadli jak szaleńcy na ulicę z ogromnemi okiennicami—raz, dwa, trzy—już wstawione;—cztery, pięć, sześć—zasuwy i kłódki założone;—siedm, ośm, dziewięć—wszystko zamknięte. Nimbyście doliczyli do dwunastu, oni już byli z powrotem zmachani jak konie wyścigowe.

— A teraz, moje chłopaki — rzekł Fezziwig—uprzątnijmy wszystko, poustawiajmy w kąty niepotrzebne rzeczy, żebyśmy mieli jak najwięcej miejsca. No! galop! Dobrze tak; ach ty niezgrabiaszu, tę skrzynię pod biurko—Ebenezrze, co ty robisz?—tę pakę jedną na drugą, no zrozumiałeś wreszcie?

Uprzątnąć—oniby byli cały dom roztrzęśli i przenieśli w mgnieniu oka w inne miejsce. W minutę wszystko było skończone. Wszystko, co tylko można było dźwignąć z miejsca, popakowali gdzieś w kąty, jak gdyby już nigdy oko ludzkie dojrzeć tego nie miało. Podłogę skropiono i wymieciono, lampy poprawiono, na komin wsypano furę węgla i w jednej chwili sklep zmienił się w salę balową, wygodną, obszerną, suchą, jaśniejącą;—powiem tylko, że jak na salę balową, cokolwiek zanadto była ogrzana. Ale to nic nie szkodzi.

Zaczęły się niespodzianki. Przyszedł tedy, niby to sam z siebie, skrzypek z ogromną księgą nut pod pachą. Zasiadł na wysokiem krześle pryncypała i zaczął stroić skrzypce i kręcić i piszczyć i próbować, że aż w mózgu trzeszczało. Potem weszła pani Fezziwig, za nią trzy panny Fezziwig, białe,

pulchne, skromne, błyszczące wesolością i uprzejmością.

Za niemi wsunęło się sześciu kawalerów: wystrojeni, wypomadowani, chłopcy jak świece (prawdę mówiąc, pomiędzy nimi znajdowało się dwóch czeladników mydlarskich), potem wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczęta z całego domu, przyjaciele, znajomi—młody chłopczyna z sąsiedniego sklepu, sierota, o którego, pryncypale poszeptywano, że swoich uczni głodem morzy. Co za zgroza! I tak wchodzili jedni za drugimi; ci śmiało, tamci bojaźliwie, ci z szelestem, tamci niezręcznie, popychając się, kryjąc za sobą, jak to bywa wszędzie i zawsze. Dość, że weszli i pomieścili się wszyscy. Potem nastąpiły dygi, ukłony, zaproszenia do tańca i inne bardzo ważne ceremonje. Wreszcie stanęli w parach—może ze dwadzieścia par. Alboż ja ich mogę zliczyć, kiedy się kręcą na wszystkie strony—może i więcej. Dalejże w tany. Hasali na zabój, gospodarstwo nie usiedli na chwilę, chodzili od jednych do drugich, kłaniali się, głaskali, całowali gości, dzieci; stary Fezziwig wyciągał z kątów nieśmiałych, wołając: „naprzód, bardzo dobrze, proszę jak we własnym domu, sługa państwa dobrodziejstwa! Wiwat Boże Narodzenie!”

Po pewnym przeciągu czasu skrzypek odłożył instrument i wpuścił głowę w ogromny dzban przygotowanego wyłącznie dla niego piwa. Gdy się ukazał, zaczął nanowo, gardząc spoczynkiem, jak gdyby dawnego skrzypka, wycieńczonego, znużone-

go odprowadzono do domu, a natomiast zasiadł jakiś inny, świeży, gotów grać do upadłego.

Tańczono więc znowu, bawiono się w gry—znowu tańce, potem pauza—wielka pauza! Podano ciasta, ogromne kawały pieczeni, wyborne salcesony, pasztety z siekanki, zdroje piwa. Mówię wam, że wszystkiego było dosyć, do zbytku, jak przystało na ucziwy dom obywatelski. Lecz gdy skrzypek urznął *Drabanta*, dopieroż to uroczysta nadeszła chwila! Stary Fezziwig podał rękę małżonce i stanął na czele. To mi panie robotą! prowadzić dwadzieścia kilka par młodych, niespokojnych, burzliwych ludzi, którzy chcą tańczyć, a nie wlec się noga za nogą.

Lecz chociażby ich było dwa, a nawet trzy, cztery razy więcej, państwo Fezziwig daliby sobie radę. Fezziwig podskakiwał, komenderował, kręcił się, dziwne wyrabiał rzeczy, tak, że niejednego zawstydzil młodzieńca.

Uderzenie godziny jedenastej położyło koniec temu gospodarskiemu balikowi. Pan i pani Fezziwig stanęli u drzwi salonu, przyjaźnie ściskając za rękę każdego gościa pojedynczo, on mężczyzn, ona damy, w miarę jak się kto oddalał i życząc wszystkim wesołych świąt. Gdy pozostali sami w kole domowników, powtórzyli im życzenia, rozdali kolendy, pożegnali serdecznie. Ucichły radosne głosy, a subjekci udali się na spoczynek.

Przez cały ten czas Scrooge kręcił się, jak gdyby postradał zmysły. Duszą i sercem brał udział w zabawie, do której drugi *on* tak czynnie należał.

Poznawał wszystko, przypominał sobie wszystko, wszystkiem się cieszył i najrozkoszniejszych doznawał wrażeń. Dopiero gdy znikły jaśniejące radością oblicza subjektów, przypomniał sobie o obecności ducha, spostrzegł, że tamten badawczo się w niego wpatrywał, a promień światła, wytryskujący nad głową widma, coraz żywszą rzucał jasność.

— Jakże mało potrzeba — rzekł duch — aby w tych głupich ludziskach najwyższą obudzić wdzięczność...

— Mało?!—powtórzył Scrooge.

Duch skinął, aby zamilkł i kazał mu się przyśluchać rozmowie subjektów, obsypujących pochwałami i uwielbieniem swego pryncypała.

— Wielka rzecz i cóż takiego zrobił? — rzekł duch po chwili. — Wydał kilkadziesiąt złotych z waszych śmiertelnych pieniędzy, może i mniej. Czyż warto go tak wynosić, tak wielbić, tak wychwalać?

— Duchu! co też ty mówisz — zawołał Scrooge z uniesieniem, zapomniawszy, że jest sobą, ale przedzierzgnawszy się niejako w *drugiego siebie*. — Nie o to wcale, nie o to chodzi. Fezziwig mocen jest w swym zakresie uczynić nas szczęśliwymi; ulżyć i osłodzić nasze obowiązki, lub je pogorszyć i utrudnić, wyrządzić nam przyjemność, lub dolegliwość. Czy ta jego władza leży w czynach, czy w słowach, czy w spojrzeniach, czy też w rzeczach tak nieznaczących, tak ma-

łych, że zważać ani ocenić się nie dadzą, wszystko to jedno.

Szczęście i radość, jakie nam sprawia jednym wyrazem, jednym spojrzeniem, jedną małą przyjemnością, jak np. wieczór dzisiejszy, jest tak wielkie, tak ważne, jak gdyby niezmierne kosztowało sumy.

Tak rozumując Scrooge podniósł głowę i ujrzał przenikliwy wzrok widma zwrócony na siebie; zatrzymał się.

— Cóż ci to jest?—zapytało widmo.

— Nic nadzwyczajnego—rzekł Scrooge.

— Jednakże wydajesz mi się pomieszany, nie-spokojny, no powiedz, śmiało!

— Nic, nic... oto!... widzisz...—rzekł Scrooge—pragnąłbym z całej duszy powiedzieć parę słów memu buchalterowi. To i wszystko.

Tamten *on* zgasił ostatnią błyszczącą w sklepie lampkę, a Scrooge i duch znaleźli się nagle na świetle i chłodnem powietrzu.

— Czas upływa, moja godzina się zbliża—rzekł duch.—Dalej!

Wyrazy te nie były zwrócone ani do Scrooge'a, ani do kogoś, kogoby mógł widzieć, wszelako miały skutek niechybny; Scrooge ujrzał *się* znowu. Był nieco starszym, w sile wieku. Twarz nie miała jeszcze ostrych i surowych rysów dojrzałości, wszelako na licu przebijały się cechy niepokoju i cheiwości. Wzrok posiadał ruchliwość gorączkową, trwożliwą, znamionującą walkę złych i dobrych

skłonności; zle brało górę—można było przepowiedzieć, w którą stronę padnie cień wzrastającej drzewiny.

Przy nim stała młoda dziewczica w żalobie. Przy świetle, bijącym z głowy ducha, widać było lzy, błyszczące w pięknych jej oczach.

— Kto inny — mówiła — zajął me miejsce w twem sercu.

— Któż taki?—zapytał z niecierpliwiony.

— Cielec złoty.

— Otóż to jest sprawiedliwość ludzka. Świat naigrawa się i brzydzi ubóstwem, a jak tylko ktoś rozsądny i przewidujący ubiega się o majątek, zaraz go obrzucają wyrzutami, zaraz mu zazdroszczą i z niesłychaną sędzą surowością.

— Widziałam, jak pod wpływem obawy ubóstwa niknęły najszlachetniejsze twe uczucia, najzaniejsze popędy. Chciwość, łakomstwo, żądza złota, wszystko pochłonęły. Czyż temu zaprzeczysz?

— No i cóż z tego? Stałem się rozsądniejszy, nic więcej. Względem ciebie w niczem się nie zmieniłem.

Wstrząsnęła głową na znak zwątpienia. „Bogdaj nowo obrana przez ciebie droga przyniosła ci szczęście i spokojność. Nię mamy względem siebie żadnych obowiązków. Zwalniam cię z danego przyrzeczenia.“

Usiłował się tłómaczyć, lecz szło mu tak niezręcznie, tak się wikłał i plątał, iż widać było całą radość, jakiej doznawał z powodu tego zerwania.

Odeszła.

— Duchu! — jęknął Scrooge — nie pokazuj mi nic więcej. Odprowadź mnie do domu. Przestań pastwić się nademną!

— Jeszcze jedno tylko widzenie—odpowiedział duch.

— Nie, nie, nic więcej, nie chcę już nic widzieć. Nic mi już nie pokazuj.

Lecz nieublagane widmo ścisnęło go rękoma i zmusiło do wpatrywania w dalsze przemiany.

Nagle przeniesieni w inne miejsce, uderzeni zostali widokiem innej sceny. Był pokój, ani zbyt wielki, ani zbyt ciasny, przyjemny, miły, wygodny. Przy dobrym ogniu, palącym się na kominku, siedziała młoda dziewczyna, tak podobna do tej, którą widział przed chwilą, że wziął ją za poprzednią, lecz wpatrzywszy się poznał, że tamta, dziś już matka rodziny, siedziała naprzeciw córki. W pokoju był szmer głośzący, odurzający; tak było pełno dzieci, że Scrooge, w gwałtownem wzburzeniu umysłu, nie był w stanie ich zliczyć, zdawało mu się, że jest ze czterdzieścioro; a ja wam ręczę, że każde dziecko z osobna hałasowało za czterdzieści. Skutkiem tego stanu rzeczy była wrzawa nieopisana; nikomu jednak nie dokuczala. Przeciwnie matka i córka śmiały się z całego serca i wybornie się bawily. Córka ulegając tej powszechnej wesołości, wmieszała się w krzykliwe grono. Dopieroż się z nią obeszli te swawolne lotry. Targali, ciągnęli,

szarpali, jak rabusie, ona się śmiała, chichotała, opędziała, a matka klaskała w ręce.

Wtem usłyszano pukanie do drzwi; natychmiast się podwoił hałas, cała gromada uniosła ją ku drzwiom, ona ze śmiechu nie mogła się bronić i stanęła naprzeciw ojca, obładowanego cackami i kołędami. Wystawcie sobie krzyki, bitwy, napaści na bezbronnego przychodnia. Jeden malec porywa krzesło i włazi mu na kark, jak po drabinie, inny przetrząsa kieszenie i wyciąga paczki poobwijane w bibułę, tamtem ściąga mu krawat i wiesza na szyję racząc uściskami, szturchańcami, popychaniami od stóp do głów. A co za radość! co za krzyk, co za zdumienie przy otwarciu każdej paczki! Jakie niemiłe wrażenie, gdy jednego malca schwytano, jak w zapale pakował do ust patelnię z blaszanego gospodarstwa: naturalnie, że na niego padły wszystkie przypuszczenia, iż połknął indyka z cukru razem z drewnianym półmiskiem. Wreszcie godzina spoczynku nadeszła, dzieci zwolna jedno po drugim wychodzą z salonu i zaprowadzone do sypialni, usypiają z zabawkami w rękę, z projektami zabaw na jutro! Spokojność wróciła.

— Maryo—rzekł mąż, zwracając się z uśmiechem do żony—widziałem dziś jednego z twoich dawnych znajomych.

— Kogóż takiego?

— Zgadnij!

— Jak chcesz abym zgadła? No... czy czasem nie pana Scrooge—odpowiedziała śmiejąc się.



— Tak jest, jego. Przechodziłem koło okien kantoru, a ponieważ okiennice były zamknięte i paliła się lampa, mimowolnie spojrziałem. Mówiono mi, że wspólnik jego Marley już dogorywa. Scrooge siedział, jak zwykle, samotny. Sam jeden na świecie!!

— Duchu! duchu! odprowadź mnie stąd!...— wołał Scrooge załamując ręce.

— Zapowiedziałem ci — odpowiedziało widmo — że ci ukazę cienie przeszłości... nie miej do mnie żalu jeżeli są takie, a nie inne.

— Odprowadź mnie — wołał Scrooge — nie zniosę więcej podobnych widoków.

Zwrócił się do ducha, a spostrzegłszy, że dziwnem jakimś dopuszczeniem, w twarzy jego odbijały się pomieszane rysy wszystkich osób, jakie, mu dotąd okazywał, rzucił się na niego.

— Daj mi pokój, puść mnie, odprowadź mnie, przestań mnie dręczyć—wołał rozpaczliwie i szarpał ducha za ręce.

W tej walce, jeżeli to walką nazwać można, ponieważ duch, nie czyniący na pozór najmniejszego oporu, nie dał się zachwiać żadnem wysileniem przeciwnika, Scrooge spostrzegł, że światło, tryskające z głowy widma, coraz gwałtowniej polyskiwało. Schwycił więc za gasielnik i jednym rzutem wtłoczył mu go na głowę.

Duch upadał, a raczej nikał pod tym dziwnym kapeluszem, tak, że prawie go widać nie było, lecz chociaż Scrooge przyciskał ze wszystkich sił, nie mógł jednak zduścić światła, wydo-

bywającego się z pod spodu i oświecającego całą podłogę.

Uczuł się wycieńczonym, zmordowanym, ogar-
nęła go niepoohamowana senność. Wkrótce zna-
lazł się w swym pokoju sypialnym. Wtedy raz
jeszcze chciał przycisnąć gasielnik, zamierzył się
z góry, uderzył ręką i padł na łóżko pogrążony
w śnie głębokim.

III.

DRUGI Z TRZECH DUCHÓW.

Przebudziwszy się z najgłębszego snu i siadłszy na łóżku w celu zebrania myśli, Scrooge nie potrzebował sobie długo przypominać, że zegar zapewne wkrótce uderzy pierwszą. Czuł doskonale, że przyszedł do przytomności właśnie w chwili najwłaściwszej do zabrania znajomości z drugim wysłańcem Jakóba Marley'a. Lecz nieprzyjemnych doznając dreszczów z niepewności, którą też frankę pociągnie widmo, zebrał odwagę i odłoniwszy obie własnymi rękoma, padł na poduszkę, powiódł wzrokiem na wszystkie strony, chciał bowiem odważnie przyjąć ducha w chwili ukazania się i nie dać się pokonać zdziwieniu, ani też uleść zbyt silnemu wzruszeniu.

Lecz chociaż na wszystko był gotów, nie był właśnie przygotowany na to, żeby nic nie było; dla tego też, gdy zegar wybił pierwszą, a żaden duch się nie zjawił, porwał go dreszcz gwałtowny i za-

czął się trząść jak w febrze. Na cóż się zdała odwaga, na co śmiałość, w cóż się obróciły wszystkie przygotowania? Tak to zawsze bywa na świecie. Pięć minut, dziesięć minut, kwadrans — nic. Przez cały ten czas leżał sztywny na łóżku, gdzie zbiegały się jak do punktu środkowego rozstrzelone promyki czerwonego światła, które go mocno oświeciło, gdy zegar cyknął na uderzenie godziny. Światło to więcej go niepokoiło, niż ukazanie się dwunastu naraz duchów, nie pojmował jego znaczenia, nie odgadywał powodu, lękał się, czy przypadkiem się nie pali i nie zwęgła własnym ogniem. W końcu wpadł na myśl (mybysmy byli od razu wpadli na tę myśl, ale to zawsze tak bywa, że ten, kto nie jest w kłopotcie, wie jakby to w takim lub w innym niebezpiecznym razie postąpić wypadało. Już to radzić wszyscy umiemy wybornie, szczególnie wtenczas, kiedy nie idzie o naszą skórę). Otóż, wracając do rzeczy, wpadł na myśl, że ognisko tego tajemniczego światła musi się znajdować w sąsiednim pokoju, ponieważ patrząc na błyszczące smugi, widać było, że się stamtąd wydobywają. Ta myśl tak nim owładnęła, że się podniósł z łóżka, wsunął pantofle i cichuteńko zmierzzał do drugiego pokoju. W chwili gdy brał już za klamkę, dziwny jakiś głos zawołał go po imieniu i kazał mu wejść. Usłuchał.

Był w swoim własnym saloniku; nie ma najmniejszej wątpliwości — w swoim własnym, lecz salon ten nadzwyczajnemu uległ przekształceniu. Ściany i sufit przystrojone były bogato w wieńce

z zielonych liści, jak gdyby to był najpiękniejszy gaik. Na kominie palił się wspaniały ogień, ale to ogień, że komin trzeszczał z podziwienia; za czasów bowiem Marley'a i Scrooge'a nie przywykl do podobnych zbytków. Na podłodze wznosiły się, tworząc rodzaj tronu, góry indyków, gęsi, wszelkiego rodzaju zwierzyny, tuczonego drobiu, wędlin, prosiąt, szynki; sążniste kielbasy, salcesony, pasztety, plumpuddynki, ryby—ale jakie—aż ślinka idzie do ust—nieprawda? pieczone kasztany, złociste jabłka, soczyste gruszki, ogromne torty migdałowe i wazy ponczu, przyémiewające wonnym swym dymem jaśność panującą w pokoju.

Olbrzym, wesolej i ujmującej powierzchowności, spoczywał na tym dziwnym tronie; trzymał w ręku zapaloną pochodnię, zbliżoną kształtem do rogu obfitości, wznosił ją nad głowę, aby oświecić oblicze zagląającego przez szparę Scrooge'a.

— Wnijdź! — zawołało widmo — wnijdź! Nie lękaj się, mój przyjacielu, bliższej ze mną znajomości.

Scrooge wszedł z obawą na palcach i skłonił się głęboko. Nie był to już ten sam Scrooge, opryskliwy, gburowaty; poprzednie dwie wizyty wielce go zmieniły, a chociaż oczy widma były łagodne i dobrotliwe, Scrooge spuszczał swoje z pokorą.

— Jestem duch terażniejszego Bożego Narodzenia. Przypatrz mi się.

Scrooge podniósł i wlepił weń wzrok. Ten duch znowu miał obszerny ciemno-zielony płaszcz,

oszyty dokoła białem futerkiem. Okrycie to, niedbale zarzucone na ramiona, dawało widzieć pierś męzką, szeroką, nagą, odsłoniętą na zmiany powietrza. Nogi miał również nagie, skronie otaczał mu wieniec ze świeżej choiny, poprzetykanej gdzieniegdzie sopolkami błyszczącego lodu. Długie i gęste włosy w bogatych pierścieniach spadały mu na ramiona; twarz szczerą, oko jasne, wyraziste, błyszczące zadowoleniem. Cała postawa ducha oddychała spokojem i wesołością. U pasa wisiał starożytny miecz, na pół od rdzy zjedzony, 'snać nigdy go nie używał.

— Nie widziałeś nigdy nikogo podobnego do mnie?—zapytał duch.

— Nigdy w życiu!

— Czyś nigdy nie podróżował z którymkolwiek z mych starszych braci?

— Nie przypominam sobie. Zdaje mi się, że nie. A wielu też masz braci ducha?

— Mnóstwo, przeszło tysiąc ośmset sześćdziesiąt—odpowiedziało widmo.

— Ach! jakże liczna rodzina, co za wydatki na jej utrzymanie.

Widmo powstało.

— Duchu—rzekł Scrooge z uległością. — Prowadź mnie, gdzie chcesz. Przeszłej nocy zmuszono mnie gwałtem do małej wycieczki. Nie żałuję tego. Nauczka nie poszła w las. Jeśli masz mnie oświecić, poprawić—jestem na twoje rozkazy, chcę korzystać z twej łaski.

— Dotknij się mej sukni.

Scrooge uczepił się płaszcza. Światło, choiny, indyki, gęsi, zwierzyna, salcesony, szynki, prosięta, ostrygi, pasztety, plumpuddynki, owoce, poncz — wszystko zniknęło w oka mgnieniu. Pokój, blask, noc zniknęła. Znaleźli się na ulicach miasta w poranek wigili Bożego Narodzenia; uderzył ich skrzyp łopatek, któremi stróże zeskrobywali zmarznięty śnieg z chodników i z rynien.

Fronty domów i okna wyglądały ponuro, ciemno, odbijając od białej, jednostajnej, śnieżystej powłoki, okrywającej dachy—i mniej białej opony rozciągniętej na ziemi, ponieważ porysowana i popękana była w bruzdy kołami ciężkich wozów i powozów. Bruzdy te, czyli koleje, krzyżowały się w tysiące zygzaków, mianowicie na skrętach ulic; po bokach były poobmarzane, niebo było ponure. Londyn nie bardzo był przyjemny; ciężkie powietrze, przejęte węglem, spadało na ziemię w postaci gołoledzi i utrudniało oddychanie. Wszelako na wszystkich obliczach błyszczała taka radość, wesolość, ruchliwość, że wątpię, czy najpiękniejszy dzień letni mógłby się równać z tym zimnym porankiem.

Ludzie, zamiatający dachy i ulice, byli w cudownym humorze, wołali na siebie po imieniu, dając przytem różne dowcipne przezwiska, rzucali jeden na drugiego wielkie piguły ze śniegu i dalej w śmiech, gdy niewinny pocisk, celną rzucony ręką, rozbił się na plecach ofiary lub też omylił drogę i spadł na głowę poważnie kroczącego policyanta.

Sklepy na pół dopiero były otwarte. Tu widać było ogromne kosze kasztanów, soczystych gruszek, jablek, cytryn, pomarańcz, stopy winogron, pomieszany zapach wybornej kawy, herbaty, śliwek;—naprzeciwko u cukiernika ciasta, cukry, pa-szteciki, dalej fury zabawek, koni, arsenały nie-szkodliwych mieczów, pałaszy, fuzyi, nawet armat i wdzięcznie przybrane choinki, sięgające wierz-chołkiem, zakończonym złożonym orzechem, okien pierwszego piętra. Osobliwości! Dziwowiska!

Wkrótce dał się słyszeć głos dzwonów, zwołu-jących pobożnych na modlitwę. Ze wszystkich do-mów wysypały się tłumy ludzi w świątecznych strojach; inni znowu, nie mający w domu dość obszernych kuchni, biegli do piekarzy z koszami, niosąc w nich ciasta, potrawy, pieczenie do wsadzenia w ogniska. Duch mocno się nimi zajmo-wał, biegł od kosza do kosza, stanął na rogu przy wejściu do piekarni, podnosił okrywające płótna i zasłony, nad każdym koszykiem wstrząsnął swą pochodnią jak kropidłem i zaraz wydobywały się z pod przykrycia wonne, urocze zapachy. Dziwna to też była pochodnia—dwóch ludzi idących z ciężarami potrafiło się i zaczęli się obrzucać obelga-mi; duch poskoczył w tę stronę, poruszył nad ich głowami pochodnią i zdumiony Scrooge ujrzał, jak oba w jednej chwili postawili ciężary i podali so-bie przyjaźnie dłonie mówiąc: „Czyż to nie wstyd klócić się w wigilią Bożego Narodzenia? Mój Boże! w tak wielkie, uroczyste święto?!“

Zwolna ucichły dzwony, sklepy pozamykano, tylko z kominów buchała woń dosmarzających się i dopiekających potraw.

— Powiedz mi, dobry duchu—zapytał Scrooge—czy krople, spadające z twej pochodni, mają jaką szczególną, nadzwyczajną zaletę?

— Tak jest, moją własność, moje błogosławieństwo!

— I własność tę wszystkim możesz udzielać?

— Wszystkim, a mianowicie ubogim, bo ci jej najwięcej potrzebują.

Tak rozmawiając przenieśli się, zawsze niewidzialni, na przedmieście Londynu.

Druga, uderzająca Scrooge'a własność, cecha, jaką zauważył w duchu, była możność mieszcznienia się w najmniejszym kąciuku. Wszędzie mu było dobrze, wszędzie dogodnie, pomimo wyniosłej i olbrzymiej postawy; wszędzie, czy to pod ubogą strzechą, czy pod sklepieniami pałaców, zachowywał jednakową godność i nadnaturalną wspaniałość.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, czy to przypadkiem, czy też naumyślnie, może idąc za popędem wrodzonej ku biednym przychylności, duch zaprowadził Scrooge'a wprost do mieszkania jego buchaltera. Na progu duch zatrzymał się, uśmiechnął, skropił pochodnią drzwi i pobłogosławił mieszkańców i mieszkanie Boba Cratchit. Tak zwał się buchalter Scrooge'a.

Wsunęli się niewidzialni. Małżonka buchaltera, pani Cratchit, ubrana w nicowaną, wytartą

suknię, przystrojona w wyszarzane wstęgi, nakrywała do stołu przy pomocy panny Belindy Cratchit, młodszej swej córki, podobnie jak matka wystrojonej, tymczasem syn najstarszy, pan Piotr Cratchit, zapuszczał w garnek z kartoflami widelec, chcąc się przekonać, czy są już należycie dogotowane i poprawiał z powagą wysokie rogi ukrochmalonego kołnierzyka od koszuli, którą mu papa na dzisiejszą uroczystość pożyczył. Dwoje innych Cratchitów, chłopczyk i dziewczynka, wpadli hałaśliwie do pokoju, krzycząc, iż przechodzili właśnie koło piekarni i poznali po zapachu, wydobywającym się stamtąd, gęś, którą mama zaniósła tam do upieczenia. Upojeni radością na myśl o wybornych jabłkach i sosie z cebuli, zaczęli wyskakiwać około stołu, wynosząc pod niebiosa kucharskie talenta pana Piotra, który z wydętą jak balon twarzą, schylony nad ogniskiem, dmuchał, poprawiał ogień, dopóki głoś piszczący, syczący i belkotający w garnku, nie oznajmił, że kartofle wybornie są ugotowane i że już czas je odstawić.

— Co się to znaczy, że się tak wszyscy dziś spóźniają — rzekła pani Cratchit — i ojciec z Tomaszkiem i Marta. Przeszłej wigilii była już w domu od pół godziny.

— Jest Marta! mateczko — zawołała młoda panna, wchodząc w tej chwili do pokoju.

— Jest Marta! — powtórzyli chórem malcy. — Wiwat! żebyś wiedziała co za wspaniała gęś. Wiwat Boże Narodzenie!

— Niech cię Bóg błogosławi, kochane dziecko. Dla czegoż tak późno przychodzisz? — rzekła pani Cratchit, obsypując ją pocałunkami i zdejmując z niej chustkę i kapelusz z macierzyńską troskliwością.

— Dużośmy miały roboty do wykończenia na dziś wieczór, mameczko, trzeba ją było na gwałt odstawić, każdy chce mieć nowe suknie na święta.

— Dobrze, dobrze, nie szkodzi. Dalej, siadaj przy ogniu, rozgrzej się, kochane dziecko.

— Nie, nie! papa idzie — wykrzyknęli znowu malcy, którzy wszędzie byli i wszystko widzieli. — Schowaj się Marto, słyszysz, schowaj się.

Marta się schowała.

Wszedł Bob ¹⁾ Cratchit (znacie go — buchalter, o którym wam na początku mówiłem) w ogromnym szaliku wełnianym na szyi — gdzie tam na szyi — na brzuchu, wisiał aż do kolan; suknie zużyte i wytarte do nitki starannie miał wyczyszczone, z powodu uroczystego święta; na rękę niósł Tomaszka. Niestety, biedny Tomaszek kulał chłopczyzna i opierać się musiał na kuli.

— A gdzie Marta? gdzie Marta — zapytał Bob, oglądając się niespokojnie na wszystkie strony.

— Jeszcze jej nie ma! — odpowiedziała pani Cratchit.

— Jakto, jeszcze nie przyszła — zawołał, utracony nagle wesołość — nie ma jej, nie przyszła w wigilię Bożego Narodzenia?

¹⁾ Bob zdrobniałe imię od Robert.

Marta nie mogła przenieść na sobie, aby ojca dręczyć dłużej, nawet na żart, wybiegła z kryjówki i rzuciła mu się na szyję, gdy tymczasem mali Cratchitowie porwali Tomaszka i zanieśli go do kuchni, aby mógł zblizka usłyszeć śpiew plumpuddyngu, wydobywający się z rądla.

— Jakże się sprawiał Tomaszek? — zapytała pani Cratchit.

— Jak cacko, prześlicznie! Zmuszony swem kalectwem do pozostawania często w samotności, stał się bardzo, bardzo rozważnym. Nie wystawisz sobie jakie mu myśli przychodzą do główki. Wracając z kościoła rzekł mi, że na niego ludzie patrzyli z wielkiem współczuciem i że zapewne myśleli sobie w dniu dzisiejszym o cudach i łaskach Tego, który przywracał słuch głuchym, wzrok ciemnym, ruch ułomnym i kalekom.

Mówiąc to drżał głos Boba, więcej jeszcze drżał, gdy dodał, że mu się zdaje, iż dziecko, dzięki Bogu, codzień staje się silniejszym i zdrowszem.

Wtem dało się słyszeć tupotanie kuli; wszedł chłopczyk w towarzystwie brata i siostry i zasiadł na wysokiem krzeselku przy ogniu. Bob zakasał przez oszczędność rękawy, jak gdyby one mogły się jeszcze bardziej zniszczyć, wziął imbieru, cytryn, wcisnął je w wazę gorącej wody, mieszał na wszystkie strony i przyrządził dziwny jakiś napój; mówił biedak, że to grok—niech i tak będzie—gdy tymczasem mała dwójka pobiegła do piekarza po gęś i wniosła ją w tryumfie.

Gdybyście słyszeli zgiewek, wywołany jej wido-

kiem, sądzilibyście, że gęś jest w Anglii najosobliwszym zjawiskiem, wobec którego czarny labędź, biały kruk są pospolitociami. Rzeczywiście w tym biednym domu gęś była jednym z siedmiu cudów świata. Pani Cratchit odgrzała sos, przygotowany oddawna w małej ryneczce, pan Piotr z herkulesowym zamachem startł na miazgę kartofle, panna Belinda wsypała do wazy mączki cukrowej. Marta wycierała talerze, Bob przysunął do siebie Tomaszka, a dwoje małych przystawili krzesła wszystkim, nie zapomniawszy o sobie i zajmąwszy stanowiska, powtykali sobie w gębę puste łyżki, aby nie uledez pokusie i w dzień tak uroczysty nie naruszyć porządku lizaniem sosu. Wreszcie podano potrawę, zmówiono w cichości modlitwę, pani Cratchit obejrzała starannie długi nóż, spróbowała go na paznociu i zapuściła we wnętrzości gęsi, z których przy ogólnym okrzyku *wiwat!* wybuchła fontanna jablek i gruszek.

Nigdy nie widziano podobnej gęsi, Bob dawał słowo, że nie przypomina sobie nic podobnego. Co też mówili u piekarza, jak ją zobaczyli? Jej kruchość, zapach, taniość i inne zalety były przedmiotem powszechnej rozmowy i uwielbień; z kartoflami i sosem wystarczyć mogła dla dwóch rodzin. „To prawda — rzekła pani Cratchit, spostrzegłszy u kogoś na talerzu kawalek nie ogryzionej kosteczki — rzeczywiście, nie można było zjeść całej.“ Panna Belinda odmienila talerze, a pani Cratchit oddalila się na chwile, nie chcąc mieć świadków przy wzruszeniu jakie ją czekało, gdy otworzyła rą-

del z budyniem. Przypuście, że się nie uda! że się rozleci przy wyjmowaniu z ładu; przypuście, że się złodziej zakradł kominem i porwał go—przypadki po ludziach chodzą. Na tym świecie wszystkiego spodziewać się można. To okropne, włosy na głowie powstają! Nic, nic, to żarty, uspokójcie się.

Wydobyto budyń z ładu. Ach, jakaż gęsta para, co za woń rozparzonej bielizny (budyń owinięty był w serwetę). Co za mieszanina lehcących podniebienie zapachów, przypominających jednocześnie traktyernika, pasztetnika i mieszkającą w sąsiedztwie praczkę. To, panie, budyń! Pani Cratchit wróciła do pokoju z twarzą opromienioną, skromnie spuszczać oczy; niosła w ręku budyń, podobny do kuli armatniej, twardy, jędrny, pływający w jeziorze ognistej okowity; na wierzchołku tego ognia zieleniła się gałązka choiny, wetknięta na pamiątkę Bożego Narodzenia.

Cudowny budyń. Bob Cratchit oświadczył tonem poważnym i uroczystym, że od czasu małżeństwa podobne arcydzieło nie wyszło z rąk jego polowicy.

Wreszcie ukończono wieczerzę, zdjęto obrus i podsycono ogień na kominku. Grok przygotowany przez Boba był wyborny. Na stole zastawiono jabłka, dwie pomarańcze, a w popiół wrzucono garść kasztanów. Cała rodzina obsiadła w półkole komin, obok Boba postawiono wszystkie kryształy familijne, mianowicie dwie rznięte szklanki i wyszczerbiony kubek od wód mineralnych. Cóż to

szkodzi. Nalany w nie grok tak im smakował, jak gdyby były złote lub srebrne; kasztany trzeszczały w ogniu. Bob powstał, wzniosł w górę napelnio-ny kubek i zawołał:

— Wesolych świąt, moje dzieci. Daj nam Boże zdrowo i szczęśliwie doczekać przyszłej wigilii.

— Daj Boże—odpowiedzieli chórem.

— Daj Boże nam wszystkim! — dodał Tomaszek.

Siedział przy ojcu na krzeselku. Bob trzymał go ciągle za małą, wychudłą rączkę, chcąc mu dać tym sposobem dowód szczególnego współczucia. Gdy się mały odezwał, ojcu stanęły łzy w oczach, przysisnął go do siebie i obejrzał się w około z przełknięciem, gotów bronić i zasłaniać go przed niewidzialnym napastnikiem, gdyby ten chciał mu porwać dziecinę.

— Duchu! — rzekł Scrooge z drżeniem i zajęciem, jakiego nigdy nie doznawał—powiedz mi, czy Tomaszek żyć będzie?

— Widzę opuszczone miejsce przy kominku— rzekł duch— widzę w przyszłości jak Bob ścisną i okrywa pocałunkami kulę, a nie widzę jej właściciela. Jeśli mój następca nie zmieni nic w obrazach, które mi się ukazują, dziecinę umrze.

— Nie, nie, ja proszę! — mówił Scrooge. — Ja błagam, ocal go.

— I cóż ztąd jeżeli umrze, cóż ztąd za szkoda? Zmniejszy przez to zbyteczną ludność, oszczędzi przeludnienia!

Scrooge spuścił głowę, usłyszawszy własne wyrazy, które był niegdyś wyrzekł w dzień wigilii Bożego Narodzenia do dwóch nieznanomych, zbierających składkę, uczuł się przejęty wstydem, boleścią i szczerym żalem.

— Człowieku!—zawołał duch z mocą — człowieku, jeśli masz serce a nie kamień w piersiach, zaniechaj tak ohydnej mowy, porzuć te zdania hańbiące człowieczeństwo, bluźniące przeciw Bogu. Ty więc chcesz wyrzec, ty chcesz wyrokować, kto ma żyć a kto umierać. Może w oczach Boga niedniejszym jesteś życia, jak istota stokroć słabsza i nędzniejsza jeszcze niż ta biedna dziecina. Wielki Boże! co za zgroza, aby nędzny robak poważił się głosić, iż za wiele jest na świecie zgłodniałych robaków, a jego braci!

Scrooge upokorzył się, zalał się łzami, słysząc tę mowę ducha, drżał jak liść, nie ze strachu, lecz ze wzruszenia. Nagle usłyszał, że wymówiono jego nazwisko.

— Zdrowie pana Scrooge—rzekł Bob, podnosząc w górę szklanę — czy słyszycie, zdrowie mego pryncypała, któremu zawdzięczamy dzisiaj ucztę.

— Zacy pryncypała, rzeczywiście, bardzo zacy!—wykrzyknęła pani Cratchit zaperzywszy się od gniewu.—Chciałabym, żeby się tu znajdował wyprawilabym mu ucztę, miałby się z pyszna! Nie wiem, czyby strawił wszystko, czembym mu usłużyła!

— Moja kochana—rzekł Bob—dzieci!... wigilia Bożego Narodzenia!

— W istocie, potrzeba Bożego Narodzenia, aby pić za zdrowie takiego skąpca, takiego sknery, takiego tyrana nieczulego, nieubłaganego, jak ten kamienny Scrooge. Ty wiesz o tem najlepiej Robercie, biedny mój mężu, ty wiesz jak się pastwi nad tobą, jak ci zwolna krew wysysa.

— Moje życie! — mówił Bob łagodnie — moje życie! Boże Narodzenie!

— Wypiję za jego zdrowie przez przywiązanie do ciebie i przez cześć należną dzisiejszej uroczystości. Życzę mu więc wesółych świąt, szczęśliwego roku i długiego życia. Lecz czy Opatrzność święta i sprawiedliwa jednego jest z nami zdania, o tem bardzo wątpię.

Dzieci poszły za przykładem rodziców i spełniły to zdrowie; jedyna rzecz, którą w tym dniu uczyniły z niechęcią. Scrooge był postrachem rodziny, a wspomnienie jego nazwiska rozciągnęło nad uczciwem gronkiem posępną chmurę, wiszącą przez kilka minut. Wszystkie twarze zasmuciły się i sposepniały. Potem wróciła znowu najżywsza wesołość, Bob oznajmił im, że upatrzył dla Piotra miejsce, które mu może przynieść ze dwanaście złotych tygodniowo. Małcy śmieli się jak opętani usłyszawszy, że pan Piotr idzie na swój chleb i że będzie robił interesa; pan Piotr głęboko się zamyślił, zmarszczył czoło, wysunął naprzód rogi kołnierzyka i układał plany, co też zrobi z pieniędzmi, gdzie je ulokuje, gdy ujrzy się posiadaczem kapitałów. Marta, biedna szwaczka z poblizkiego magazynu mód, opowiedziała z kolei, jakie robi roboty, ile godzin

dziennie pracuje bez wypoczynku, cieszyła się na myśl, że jutro będzie mogła spać do woli. Dodała, że przed kilkoma dniami widziała jakąś hrabinę i młodego lorda podobnego wzrostem i postawą do Piotrusia; pan Piotr zdumiał i wspaniale poprawił kołnierzyk. Sądził, że jest lordem przez chwilę. Wreszcie Tomaszek zanucił żalonym, cienkim głosikiem balladę o dziecięciu zbłąkanem i zasypanem w śniegach.

Nic nie było arystokratycznego, nic wzniosłego w całym tem kole. Rodzina nie odznaczała się pięknnością, ubrani byli więcej niż skromnie, biednie; obuwie ich nie zalecało się nieprzemakalnością; suknie wytarte, zużyte, świecące latami. Byli jednak szczęśliwi, wdzięczni Bogu: gdy Scrooge opuścił izdebkę, szczęście ich i wesołość wzrastały widocznie, w miarę jak duch skrapiał każdy kącik, każdą osobę, czarodziejską swą pochodnią. Duch zatrzymał się przy każdym, długo stał nad Tomaszkiem, i odchodząc kilkakrotnie spoglądał na dziecięcą z uczuciem i politowaniem.

Noc była ciemna, ponura, śnieg padał płatami, a gdy Scrooge unosił się z duchem po ulicach miasta, ogień błyszczał we wszystkich oknach. Tu wahające się światelko dawało widzieć przygotowania do skromnej uczyt familijnej, talerze wygrzewały się na kominie — tam znowu grono dzieci biegło na spotkanie powracających z miasta braci, sióstr, krewnych i przyjaciół; gdzieindziej na roletach rysowały się oblicza osób siedzących u stołu.

Sądząc po liczbie osób, przeciągających tłumami po ulicach, możnaby mniemać, że nikogo nie ma w mieszkaniach, tymczasem wszędzie gospodarstwo z upragnieniem oczekiwało na gości. Dla tego też duch był zachwycony, uradowany, na wszystkie strony potrzasał pochodnią, rozlewając wszędzie wesołość i zadowolenie. Nawet człowiek zapalający latarnie gazowe i znaczący swój bieg po ciemnych ulicach nagłemi wytryskami światła, nawet ten człowiek zaczął się śmiać na całe gardło, gdy duch otarł się o niego.

Pocziwiec nie mógł sam sobie zdać sprawy z tej nagłej wesołości. Zkądże mógł przypuścić, że duch Wigili Bożego Narodzenia dotknął go swem ramieniem?!

Nagle zdziwiony i przestraszony Scrooge znalazł się, bez żadnego zapowiedzenia, wpośród obszaru smutnego, pustego, gdzieniegdzie zarzuconego ogromnemi bryłami granitu. Rzekłbyś, że to cmentarz olbrzymów; woda sączyła na wszystkie strony, mróz tylko tamował jej bieg dowolny; w tej samotni rósł tylko mech i karłowate jakieś rośliny.

-- Gdzież jesteśmy?—zapytał Scrooge.

— Tam, gdzie żyją górnicy, którzy pracują we wnętrznościach ziemi. Ci mnie także znają. Patrz!

Światło zabłysło w okienku lepianki — pobiegli w tę stronę. Przesunęli się przez ścianę z gliny i błota i znaleźli w chatce wesołe towarzystwo. Jakiś starzec, staruszka, ich dzieci, wnuki, sąsiedzi, wszyscy przybrani w świąteczne suknie, siedzieli

około stołu. Starzec głosem drżącym zanucił koledę, zgromadzeni powtórzyli chórem każdą zwrotekę. Duch pobłogosławił; niedługo bawił w tem miejscu, kazał Scrooge'owi trzymać się oburącz za płaszcz i poniósł go — gdzie? zgadnijcie! Wszakże nie w morze? Właśnie że tak, na morze. Scrooge tak był zajęty trzymaniem się płaszcza, że z początku nie uważał, lecz nagle zrobiło mu się bardzo zimno, obejrzał się i ujrzał ze zgrozą, z przerażeniem, jak zdala niknął ostatni pas ziemi, jak niknęły nagie skały. Został odurzony głuszącym rykiem bałwanów, rozbijających się z łoskotem piorunów w łonie pieczar i przepaści morskich, które morze wyrzyło, jak gdyby w napadzie szaleństwa i wściekłości chciało podkopać i obalić ląd stały.

Zbudowana na smutnej, samotnej, sterczącej z pośród wód skale, o kilka mil od lądu, rok cały zapamiętałe uderzana bałwanami, wznosiła się latarnia morska. U stóp jej wiły się niezmierne zwoje roślin morskich, u szczytu gnieździły i bujały dzieci wiatru i burzy, ptaki drapieżne morskie, wznosząc się i opadając na przemian.

W tem jednak miejscu dwaj strażnicy, pilnujący ognia latarni, rzucającego na straszliwy przestwór smugę światła, siedzieli u prostego stołu, a podawszy sobie twarde dłonie i popijając grok, życzyli świąt wesółych i szczęśliwego roku; potem starszy, którego oblicze pocięte srogością wiatru i surowością klimatu, wyglądało jak starożytny poszezbiony pociąg, zanucił chropowatym głosem

pieśń dziką, surową, którą z dala usłyszawszy, wziąć było można za wycie wiatru. Duch ich pobłogosławił i unosił się dalej, dalej, po nad przestwory bezdenne, wzburzonego oceanu, wreszcie w pośród mór, zdala od brzegów i lądów, w szybkim swym biegu spuścili się nasi podróżni na pokład miotanego burzą okrętu. Wtedy duch przebiegł ze Scrooge'm wszystkie zakątki olbrzymiego gmachu, był u steru, u przodu, w kajucie oficerów, w kajutach majtków, wleciał na maszty gdzie czuwały strażę; każdego błogosławił, nad każdym wstrząsał pochodnią, a każdy nucił kolędę, a gdy było dwóch razem, życzyli sobie i wieszowali, mówili i myśleli o Bożem Narodzeniu, przypominając ubiegłe wigilie, spędzone na łonie rodziny i wynurzając pragnienia, aby na rok przyszły mogli się znajdować u drogich ognisk rodzinnych. Wszyscy, wszyscy bez wyjątku, źli i dobrzy, gniewliwi i potulni, weseli lub smutni, zamienili w dniu tym szczerze, przychyłne wyrazy, wszyscy sobie przebaczyli, wszyscy mówili o nieobecnych przyjaciółach i krewnych, spodziewając się, że tam, na lądzie, także o nich myślał i do nich wzdychają.

Gdy Scrooge, przejęty wielkością i uroczystością podróży, wsłuchiwał się w ich rozmowy, pomieszane z żalonym echem wiatru, gdy się zastanawiał nad sobą i przedzierał wzrokiem otaczającą go ciemność, drgnął nagle, posłyszawszy śmiech dźwięczny i hałaśliwy. Jakże się zdziwił spostrzegłszy, że śmiech ten wydobywał się z gardła jego siostrzeńca, gdy się ujrzał w pokoju ciepłym, czystym,

suchym, przyjemnym, wybornie oświetlonym. Obejrzał się zdumiony; duch stał przy nim, uśmiechał się słodko i dobrotliwie wpatrywał w młodego człowieka.

— Ah ha! ha! ha!—śmiał się siostrzeniec—ha! ha! ha!

Jeżeli kto z was zna człowieka weselszego, któryby umiał śmiać się lepiej i serdeczniej jak siostrzeniec Scrooge'a, proszę mi dać jego adres, chciałbym go poznać. Lecz bardzo wątpię, czy taki drugi śmieszek znajduje się gdziekolwiek.

Jeżeli choroby i smutki są zarazliwe i łatwo udzielające, to też szczęśliwem, szlachetnem i mądrym Opatrzności zrządzeniem, nic bardziej udzielającego się nie ma na ziemi, jak wesołość i dobry humor. Jeśli się inni śmieją około ciebie, a ty, nie mając ciężkiej i głębokiej zgrzyoty, nie dzielisz ich wesołości, wyrzekam się ciebie, co więcej, lękam się ciebie, nosisz w swem łonie zaród występku i zbrodni. Śmieję się z innymi, płacz, gdy oni płaczą. Precz samoluby i głazy!

Dla tego też, gdy siostrzeniec Scrooge'a śmiał się i trzymał za boki, śmiała się młoda jego żonka, siostrzenica Scrooge'a, śmiały się jej siostry, śmieli się przyjaciele całym gardłem. Ha, ha! ha! cudowna muzyka! Pasyami to lubię.

— Tak, daję wam na to słowo — mówił siostrzeniec Scrooge'a.—Tak jest, powiedział mi—Boże Narodzenie! głupstwo! Czyście słyszeli coś podobnego w życiu? Ha! ha! ha!

— Tem gorzej dla niego, Alfredzie — rzekła młoda małżonka — tem gorzej, trzeba go żałować, ale nie wyśmiewać się z niego. I sama śmiać się zaczęła.

— A to stary dziwak!—mówił Alfred—mógłby być przyjemniejszym, lecz cóż robić, jego wady najcięższą są dla niego karą i utrapieniem, dla tego też ja się nie wyśmiewam z niego, lecz z jego dziwactwa.

— Jest podobno bardzo majątny, Alfredzie, tak mi sam mówiłeś?

— A cóż mu przyjdzie z majątku, czy on go umie użyć dla siebie lub drugih?

— Wiesz co, Alfredzie, nie znam go, ale go nie cierpię!—Wszystkie kobiety powtórzyły ten okrzyk.

— Ja tego nie powiem — rzekł Alfred. — Najpierw jest bratem ukochanej mojej matki; zresztą komuż szkodzą jego gniewy i nienawiść, jaką ma dla całego rodzaju ludzkiego? Nie kocham go, to prawda, lecz serdecznie nad nim boleję, gdy pomyślę, że w tej chwili, gdy się wszyscy cieszą i weselą, jest sam, czy wy rozumiecie — sam jeden, jak gdyby nie mógł przyjść i podzielić z nami skromnego obiadku?!

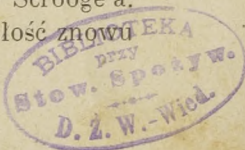
— Tak sądzisz — odezwała się młoda małżonka — a mnie się zdaje, że stracił bardzo dobry obiad.

Wszyscy obecni przyznali jej słusność. Alfred tylko z niedowierzaniem pokręcił głową i oświadczył, że nie bardzo ufa zdolnościom młodych gospodyń.

— No, mniejsza o to—odpowiedziała—skończ-
że to, coś zaczął o twoim wuju.

— Otóż żałuję, że stracił kilka chwil przyje-
mnych, któreby mu wcale nie zaszkodziły. Bez za-
dnej wątpliwości towarzystwo nasze jest weselsze,
niż jego myśli, z którymi został sam na sam,
w tym wilgotnym, ciemnym, zakurzonym kantorze.
Nie wstrzyma mnie to jednak od składania mu co-
rocznie szczerych życzeń, czy mu się to podoba, lub
nie, ponieważ lituję się nad nim. Wolno mu wy-
sztydzać zwyczaj obchodu wigilii Bożego Narodze-
nia, spodziewam się jednak, że wreszcie przed
śmiercią lepszego nabierze w tym względzie prze-
konania, gdy mnie ujrzy wchodzącego z zapyta-
niem: „Wujaszku“ — jakże się miewasz? a potem:
„Wujaszku—życzę ci wesołych świąt.“ Chociażby
wreszcie mój upór nasunął myśl obdarzenia biedne-
go buchaltera jakim tysiąckiem złotych, jużby to
coś znaczyło. Nie wiem, ale mi się jakoś widzi, że
wczoraj nie był tak zatwardziały jak dawniej.

Teraz wszyscy się znowu wyśmiewać zaczęli
z zarozumiałości siostrzeńca. Lecz ponieważ ten
w wybornem był usposobieniu, nie pytał więc z cze-
go się śmieją i zaczął im wtórować. Po herbacie
zajęto się muzyką, damy śpiewały, młodzież towa-
rzyszyła im na skrzypcach i fortepianie. Młoda
gospodyni grała bardzo pięknie na harfie i zaśpie-
wała małą piosenkę (gdybyście ją raz usłyszeli, po-
trafilibyście zaraz zagwizdać — nadzwyczaj łatwa),
ulubioną niegdyś śpiewkę zmarłej siostry Scrooge'a.
Na ten dźwięk tak znany, cała przeszłość znowu



stała mu w oczach; coraz więcej rozrzewniony, pomyślał sobie, że gdyby ją był częściej słyszał, możeby był staranniej pielęgnował słodkie związki rodzinne.

Następnie bawiono się w gry niewinne; wreszcie, gdy wszyscy rozweseleni trzymali w ręku kieliszki, któremi spełniali różne wiwaty, powstał siostrzeniec i zawołał:

— Panowie i panie, jedno jeszcze zdrowie: „Za pomyślność wujaszka Scrooge.“

— Niech i tak będzie! — wykrzyknęli wszyscy — „zdrowie samotnika! zdrowie pana Scrooge!“

— Wesółych świąt i szczęśliwego roku starcowi; nie przyjął z moich ust podobnych życzeń, wszelako musi je odebrać. Zdrowie wuja Scrooge!

Scrooge nie posiadał się z zachwycenia. Czuł się lekkim, szczęśliwym, odrodzonym. Byłby chętnie podziękował całemu towarzystwu i uściśnął siostrzeńca, gdyby duch raczył na to zezwolić. Lecz właśnie, gdy siostrzeniec wzniósł ostatni wiwat — wszystko zniknęło, Scrooge i duch wędrowali już daleko.

Zwiedzili wiele miejsc, wiele okolic, wiele mieszkań i gmachów, zawsze z najpomyślniejszym skutkiem. Duch zatrzymywał się u łoża chorych i cierpiących, a ci zapominali natychmiast swych dolegliwości; byli na poddaszach wygnańców, a tym zdawało się, że na chwilę na ojczystej znajdują się ziemi. Zrozpaczony godził się z losem, w serce jego wstępowała uległość i nadzieja lepszej odmiany. W domach przytułku, w szpitalach, w więzieniach,

wszędzie duch zostawiał błogosławieństwo, pociechę, udzielając Scrooge'owi zbawiennych nauk miłości bliźniego.

Była to noc długa, jeżeli wszystko spełniło się w ciągu jednej nocy, lecz Scrooge wątpił o tem, zdawało mu się, że mnóstwo wigilii Bożego Narodzenia złożyło się na tę jedną całość. To tylko uderzyło Scrooge'a, że gdy sam w sobie nie czuł żadnej fizycznej zmiany, widmo starzało się widocznie. Scrooge zauważył tę przemianę i nic o niej nie mówił, lecz gdy wychodzili razem z jakiegoś domu, spojrział na ducha i spostrzegł, że włos jego zbiałał.

— Czyż życie duchów jest tak krótkie?—zapytał nieśmiało.

— Bardzo krótkie, przemijające. Życie moje — kończy się tej nocy—odpowiedział duch.

— Tej nocy?

— Tak jest, o północy. Słuchaj, godzina się zbliża.

Zegar wybił godzinę trzy kwadranse na jedenastą.

— Wybacz zbytnej mojej ciekawości — rzekł Scrooge, wpatrując się pilnie w suknię ducha—lecz widzę coś nadzwyczajnego, wysuwającego się z pod twego okrycia. Powiedz mi, co to jest?

— Patrz!

Z fałdów sukni odwinął dwoje dzieci, wynędzniałych, wychudłych, zmizerowanych, odrażających nędzą, niechłujstwem; dzieci ukłękły u stóp ducha i uchwyciły się sukni.

— Patrz, człowieku! patrz! — wołał duch na Scrooge'a.

Scrooge, przypatrując się bliżej, cofnął się na widok tej nędzy, tego wcielonego nieszczęścia, zaniedbania, chciał coś mówić, lecz wyrazy zamaryły mu w ustach, wreszcie wybąknął:

— Duchu! czyż to dzieci?

— Dzieci ludzi, twoi bracia. Jedno zwie się *nędza*, drugie *ciemnota*. Na czole wyryte jest: o zamożni i majątni ludzie — wasze potępienie! Strzeżcie się ludzie! Oświecajcie, kształćcie i wspierajcie braci waszych, bo inaczej biada wam! biada!

— Czyż nie ma dla nich ratunku, schronienia, opieki — zawołał Scrooge, gotów do poniesienia ofiary.

— Alboż to nie ma więzień, alboż to nie ma domów zarobkowych — mówił duch z gorzką ironią, powtarzając wyrzeczone niegdyś przez Scrooge'a wyrazy.

Zegar uderzył północ.

Scrooge chciał coś przemówić, ducha już nie było. Gdy ostatni dźwięk zegaru rozpląnął się w powietrzu, przypomniał sobie zapowiedzenie Jakóba Marley'a, obejrzał się w około i ujrzał zbliżającą się ku sobie postać poważną, uroczystą, przybraną w szeroką, powłóczystą, ciemną oponę.

IV.

DUCH OSTATNI.

Widmo zbliżało się krokiem powolnym, poważnym, milczącym. Gdy podeszło bliżej, Scrooge zgiął kolano, ponieważ duch ten rozpościerał około siebie jakiś postrach tajemniczy, nakazujący, straszliwy, a zarazem uroczy.

Długa, czarna suknia okrywała go zupełnie, głowa, twarz, kształty, wszystko niknęło, widać było tylko długą, wyciągniętą rękę, inaczej byłoby go trudno rozpoznać na ciemnym tle ponurej nocy.

Gdy stanął przy Scrooge'u, bankier ujrzał wtedy, że widmo było nadzwyczaj poważne, wysokie; uczuł się przejęty strachem, duch nie poruszał się, prześlizgiwał raczej i nie wymówił ani jednego wyrazu.

— Czy się znajduję wobec widma przyszłości?—zapytał Scrooge.

Duch milczał i dalej wskazywał ręką naprzód.

— Ukazesz mi cienie rzeczy, które się jeszcze nie stały, a które zająć mają w przyszłości, czy tak? Mów, duchu.

Chociaż przyzwyczajony już do towarzystwa istot nadprzyrodzonych, Scrooge doznał takiego przestraszenia wobec tego grobowego milczenia, że nogi drżały pod nim jak w febrze, nie mógł się na nich utrzymać — czuł, że upada. Duch zatrzymał się chwilę, jak gdyby chciał mu pozostawić czas do zebrania sił i przyjścia do siebie.

Górna część sukni widma ściągnęła się i pochylili na chwilę, jak gdyby duch kiwnął głową. Była to jedyna odpowiedź!

Lecz niespokojność i obawa Scrooge'a wzrastały z każdą chwilą, dreszcz lodowaty wstrząsał nim od stóp do głów, gdy pomyślał, że pod tym grobowym całunem kryją się oczy nieruchomie w niego wlepione.

— Duchu przyszłości — zawołał — lękam się ciebie więcej niż twoich poprzedników, których już widziałem. Lecz ponieważ wiem, że idzie tu o moje szczęście, o moje ocalenie, o moje zbawienie, ponieważ wiem, że pragniesz mojego dobra, ponieważ mam stałe, niezłomne postanowienie korzystania z twych nauk i przykładów, ponieważ przedsięwzięłem odmienić się i przedzierzgnąć w innego całkiem niż dotąd człowieka, jestem gotów całym sercem towarzyszyć ci wszędzie. Błagam cię, odpowiedz mi.

Żadnej odpowiedzi. Ręka ciągle wyciągnięta naprzód.

— Prowadź mnie, prowadź! Noc szybko upływa, wiem, że każda jej chwila jest dla mnie niezmiernie droga. Duchu, prowadź mnie.

Duch postąpił naprzód. Scrooge szedł za nim w cieniu sukni, a cień ten zdawał się go otaczać i unosić.

Nie można stanowczo powiedzieć, czy weszli do miasta, czy też miasto nagle wyrosło około nich. Scrooge się obejrzał i poznał, że jest w Londynie— na giełdzie, pomiędzy kupcami, bankierami, agentami, szybko biegnącymi w różne strony, to znowu gromadzącymi się w małe kółka w celu rozprawiania o interesach. Jedni spoglądali na zegarki, inni bawili się łańcuszkami, inni młynkowali palce około palcy, wodzili ręką po czole, jeden drugiego chwycił za guzik od surduta i t. p., jak to Scrooge zwykle widywał w tem zgromadzeniu.

Duch zatrzymał się w bliskości małego kółka bankierów. Scrooge, spostrzegłszy rękę widma wyciągniętą w tym kierunku, zbliżył się w celu podsłuchania rozmowy.

— Nie — mówił jakiś tłusty jegomość — nie wiem nic więcej. Słyszałem tylko, że umarł.

— Kiedy?—zapytał inny.

— Zdaje mi się, że tej nocy.

— Na cóż, co mu się zrobiło, czy chorował?— wtrącił trzeci, zażywając ogromny niuch tabaki.— Myślałem, że ten nigdy nie umrze.

— Na co?—odpowiedział pierwszy ziewając— na có? Bóg to wie.

— Cóż zrobił z pieniędzmi, jakże rozporządził majątkiem?—dodał ktoś z boku.

— Nie wiem takich szczegółów, musiał komus zapisać—to wiem z pewnością, że nie mnie.

Na ten dowcip wszyscy się roześmiali.

— Ciekawy jestem, kto też pójdzie na jego pogrzeb?

— Z nikim nie żył, u nikogo nie bywał, nie wiem nawet, czy miał rodzinę, nie ma żadnych kartek zapraszających. A gdybyśmy też poszli bez zaproszenia? Kto z was raczy mi towarzyszyć, służę mu moim powozem.

— Skądże ta nagła ochota? — zapytał stojący obok niski, pękaty kapitalista.

— Skąd? Trzeba wam wiedzieć, że jak się zastanawiam, zdaje mi się, że ja byłem najpoufalszym i najbliższym jego znajomym. Ilekroć spotkałiśmy się na ulicy, zawsześmy ze sobą stawali i rozmawiali. Żegnam panów, godzina pocztowa nadchodzi, do widzenia!

Kółko się rozeszło. Scrooge znał ich wszystkich. Spojrzał na ducha znacząco, jak gdyby prosząc o wyjaśnienie całej tej rozmowy.

Duch wyslizgnął się na ulicę i wskazał ręką dwie rozmawiające ze sobą osoby. Scrooge znowu zaczął słuchać, pewien, że tym razem dociecze zagadki.

I tych znał doskonale; byli to dwaj bogaci, bardzo szanowni kupcy. Ubiegał się niegdyś o ich względy i poważanie, rozumie się—w interesach.

— Jak się kochany pan miewa? — zagadnął jeden.

— Nie źle, dziękuję, a pan?

— Bardzo dobrze. Cóż, stary *Wyga* zamknął rachunki?

— Mówiono mi. Zimno, przykry czas.

— Ba! Jakto zwykle o tej porze—Boże Narodzenie. Wartoby się przejechać sankami.

— Zapewne, ale nie mam czasu. Do widzenia!

Ani słowa więcej. Na tem ograniczyła się cała ich rozmowa.

Z początku Scrooge dziwił się, że duch przywiązywał jakąś ważność do rozmów tak blahych i nieznaczących, lecz później zastanowił się, że musiał w tem być jakiś ukryty, a ważny powód. Przebiegł tedy myślą wszystkie okoliczności słyszanych rozmów. Nie mogły się żadną miarą ściągać do jego dawnego współnika, Jakóba Marley'a, ponieważ tamten należał do *przeszłości*, a duch, który go prowadził, zajmował się *przyszłością*; łamał sobie głowę do kogo je zastosować. Wszelako przekonany, że w tem wszystkim jest dla niego nauka i pożytek, że—jak mu to Marley zapowiedział—odwiedziny duchów mają na celu jego dobro i zbawienie, postanowił starannie chwycić wszystko, co usłyszy lub spostrzeże, a nadewszystko uważać, jak się też znajdować będzie sam w trudnych okolicznościach, żeby z tego wyciągnąć korzyść i poprawę.

Przedewszystkiem szukał swojej osoby, lecz kto inny zajmował jego miejsce, a chociaż zegar giełdowy wskazywał godzinę, o której zwykł był przychodzić na giełdę—nie widział się. Mocno go to obeszło, zatem powiedział sobie: „zaszło coś ważnego, musiałem odmienić tryb życia. Wprowadziłem w wykonanie przedsięwziętą poprawę, skorzystałem już z poprzednich odwiedzin.“

Duch stał przy nim milczący, ponury z ręką naprzód wyciągniętą. Gdy Scrooge ocknął się z zamyslenia, zdawało mu się, że widmo wpatrywało się w niego uporczywie. Na tę myśl zadrżał od stóp do głów.

Porzuciwszy giełdę i środek miasta, udali się w uliczki kręte i wąskie; znaleźli się nagle w pokoju ciemnym, przy łóżku, na którym spoczywała postać okryta szerokim, spadającym do ziemi sukniem. Pokój, jak mówilem, zupełnie był ciemny; słabe, blade światelko oświecało niewyraźnie zwłoki, przy których nikt nie płakał, nad którymi nikt nie czuwał.

Scrooge spojrział na widmo, którego ręka wskazywała mu głowę zmarłego. Całun tak niedbale i lekko był zarzucony, że za najmniejszym poruszeniem można było go odkryć i rozpoznać twarz; Scrooge chciał to uczynić, miał wielką ochotę, lecz w ostatniej chwili zabrakło mu sił do wykonania tego przedsięwzięcia.

— Duchu! uchoďmy stąd, to miejsce jest straszne. Przysięgam ci, nie zapomnę tej nauki, wierz mi, ale odejďmy.

Widmo wskazywało mu ciągle głowę zmarłego.

— Rozumiem — rzekł Scrooge — rozumiem, chciałbym, lecz nie mam dość siły.

Duch patrzył nań ciągle z wyteżoną uwagą.

— Jeśli jest ktokolwiek, kogo śmierć tego człowieka obchodzi—mówił Scrooge w gorączkowej niespokojności—pokaż mi go, zaklinam!

Widmo stanęło przed jego oczyma i natychmiast ujrzał pokój inny, jasny, oświecony słońcem. W pokoju znajdowała się młoda kobieta i kilkoro dzieci. Czekala na kogoś niecierpliwie, chodziła po pokoju, drżała za najmniejszym szmerem, wyglądała przez okno, patrzyła na zegar, chciała szyć, lecz palce jej nie słuchały i z trudnością zносиła wesołość dzieci.

Wreszcie dało się słyszeć stapanie; pobiegła, otworzyła drzwi, wszedł jej mąż, człowiek młody, urodziwy; twarz miał zasepioną, ponurą, stroskaną, widać na niej było pomieszane oznaki smutku, zmartwienia i promyk radości, który usiłował pokryć.

Siadł, wsparł głowę na rękę; podano mu jedzenie, zaczął jeść i położył łyżkę. Ona zapytała go bojaźliwie, po wielkim namyśle, głosem cichym:

— Jakież wiadomości?

Nie wiedział co odpowiedzieć.

— Cóż—dobre, czy złe?

— Złe.

— Więc wszystko, wszystko stracone?

— Nie Karolino. Można jeszcze mieć nadzieję.

— Tak? no, jeżeli on się dał wzruszyć: po takim cudzie można się wszystkiego spodziewać.

— On? nic go już nie wzruszy—umarł.

Tak, kobieta była słodka, cierpliwa, dobra jak anioł, widać to było z jej twarzy. A jednak ta anielskiej poczciwości istota złożyła ręce na znak podziękowania Opatrzności za tę niespodzianą wiadomość. Zaraz potem wzniosła oczy ku niebu, błagając przebaczenia za mimowolną radość i zapomnienie.

— Komuż więc nasz dług należeć się będzie?

— Nie wiem Karolino, musi się zgłosić jego spadkobierca.

— Na kogoż przejdzie nasz dług?

— Nie wiem tego, lecz przed uporządkowaniem jego sukcesyi spodziewam się, że znajdę potrzebne pieniądze, a gdybym nawet nie miał wszystkiego, nie przypuszczam, abym w jego spadkobiercy miał napotkać człowieka równie nieubłaganego, wierzyciela równie nielitościwego. Możemy spać dziś spokojnie, Karolino.

Tak jest, z serc tych dwojga ludzi spadł wielki ciężar. Twarzyczki dzieci stojących w okolo i przysłuchujących się rozmowie, której wcale nie pojmowały, zajaśniały żywszą radością. Śmierć tego człowieka wracała spokój całej rodzinie. Jedyne więc wrażenie wywołane tym wypadkiem, jakie duch ukazał Scroogowi, było uczucie radości.

— Duchu—rzekł Scrooge—ukaż mi jaką scenę czułości, żalu, bezpośrednio połączoną ze śmiercią. Ten pokój ciemny, grobowy, któryśmy przed

tem opuścili, prześladowuje mnie straszliwie i nie wychodzi mi z myśli.

Widmo poprowadziło go kilkoma dobrze znanymi uliczkami; w miarę wędrówki Scrooge oglądał się na wszystkie strony, szukając siebie, lecz nigdzie nie mógł się znaleźć. Weszli do mieszkania Boba Cratchit, w którym był niegdyś z poprzednim duchem. Tam zastali matkę siedzącą z dziećmi około ognia.

Byli wszyscy spokojni, bardzo spokojni. Ruchliwe malcy stały w kącie jak małe posążki. Piotr siedział, trzymając na kolanach otwartą księgę. Matka i córki szyły. Wszystko pogrążone było w milczeniu i cichości.

Piotr czytał: „*I zabrał dziecię do chwały Swojej*,” właśnie gdy Scrooge i duch przestąpili próg mieszkania.

Matka położyła robotę i zakryła sobie twarz rękoma.

— Oczy mnie cokolwiek bołą, zapewne od zycia — rzekła przytłumionym głosem. — Nie chciałabym, aby ojciec dostrzegł, że są czerwone. Wkrótce nadejdzie.

— Tak się zdaje, już godzina minęła — rzekł Piotr, zamykając księgę. — Uważam, że od niejaki-go czasu ojciec bardzo się spóźnia, wszak prawda, mateczko?

Wszyscy znowu zamilkli. Wreszcie matka odezwała się głosem łkającym:

— Był czas, gdy ojciec chodził szybko, bardzo szybko, kiedy nosił na rękę Tomaszka.

— Prawda, prawda!—zawołali razem.

— Tomaszek był bardzo lekki — dodała matka — a ojciec go tak kochał. Lecz słyszę go za drzwiami. Mówmy o czem innym.

Podniosła się i wyszła na jego spotkanie. Bob wszedł wolniutko, zawinięty w swój wełniany szalik. Biedne ojczysko! Podano mu herbatę, która stała przy ogniu, wszyscy ubiegali się, aby mu usłużyć. Dwoje małych wdrapało się na kolana ojcowskie i okrywało go pocałunkami, jak gdyby chcieli wyrazić:

— Kochany ojcze, nie martw się, nie smuć się, nie myśl o tem.

Bob był bardzo wesoly, do każdego przemawiał, wszystko szło jak najlepiej; spojrzal na stół, zobaczył robotę pani Cratchit, chwalił jej zręczność i biegłość córek.

— Czy to będzie gotowe na nadzieję?

Była to zasłonka na grób.

— Będzie. Czy dziś znowu tam chodziłeś Robercie?

— Przypadkiem tylko, moja duszko! Tak—przechodząc. Żalowałem, że was nie było, ach jak tam czysto, jak starannie wszystko utrzymane! Pójdziecie w niedzielę—nieprawdaż? Będziemy chodzili często, jak najczęściej, przyrzekłem mu, że go odwiedzę każdej niedzieli. Moje dziecko, moje najdroższe dziecieniu! moje życie najukochańsze!

Wybuchnął płaczem i łkaniem; biedny Robert, nie mógł się utulić. Wreszcie, gdy się cokolwiek uspokoił, wszedł do drugiej izby. W rogu pokoju

stało łóżecko... Bob siadł przy niem, zamyslił się, potem spokojniejszy wrócił do rodziny.

Wszyscy siedzieli i rozmawiali. Bob wspominał im o grzeczności i uprzejmości siostrzeńca swego pryncypała. — Spotkał mnie dziś na ulicy, a spostrzegłszy, że jestem jakiś nie swój — byłem cokolwiek zamyślony — przystąpił i troskliwie wypytywał o powód mego frasunku. Opowiedziałem mu wszystko.

— Mocno mnie to boli — rzekł — pojmuję, co to za zmartwienie dla pana i zacnej jego małżonki strata ukochanego dziecięcia. Jeżeli mogę być w czem użytecznym — jestem na rozkazy państwa. To mówiąc, oddał mi swój bilet wizytowy.

— Proszę pana, panie Cratchit — mówił dalej — przyjdź mnie odwiedzić w tych dniach, chciałbym z panem pomówić. Oczarował mnie nie tak obietnicami, jak uprzejmością, grzecznością. Myślałby kto, że on jest z nami w stosunkach przyjaźni i że znał osobiście Tomaszka.

— Ten pan ma zacne, szlachetne serce, tak mi się zdaje — wtrąciła pani Cratchit.

— Nie wątpiłabyś wcale o tem, gdybyś z nim raz przynajmniej mówiła; anioł nie człowiek. Nie by mnie nie zdziwiło gdybym się dowiedział, że znalazł dla Piotra korzystne miejsce.

— Czy słyszysz Piotrze? — rzekła pani Cratchit.

— A wtedy — zawołała któraś z dziewcząt — Piotrus się ożeni i założy handel.

— Proszę mi nie wspominać o małżeństwie—
rzekł Piotr, wykrzywiając się z powagą.

— Nie ma nic niepodobnego na świecie — do-
dał Bob—jestem jednak przekonany, że w jakibądź
sposób los nas rozłączy, nikt z was nie zapomni
o biednym mojem dziecięciu, nikt nie zapomni o tem
pierwszem rozłączeniu!

— Nikt i nigdy!—zawołali wszyscy razem.

— I wiem, tak śmiało mogę to wyrzec, że
przez pamięć na słodycz, cierpliwość, łagodność
i dolegliwości biednego Tomaszka, wszyscy będzie-
cie łagodni, cierpliwi, miłujący się nawzajem.

— Tak kochany, drogi ojczel!

— Błogosławię was z całej duszy, z całego
serca!

Wszyscy się uścisnęli, ucałowali, wszyscy mieli
lzy w oczach.

— Duchu!—rzekł Scrooge—przecucie mi mó-
wi, że godzina naszego rozstania się zbliża, czuję
to. Przed rozejściem się powiedz mi, kto był ten
człowiek, leżący w ciemnym pokoju na łożu śmier-
telnem?

Duch przeniósł go znowu pospiesznie, gwałto-
wnie w okolice giełdy.

Nie zatrzymali się nigdzie, chociaż Scrooge
błagał go o chwilę zwłoki.

— Poczekaj przez litość. Wszakże to dom,
w którym ja mieszkam, tu jest mój kantor, pozwól
niech zajrzę, niech się zobaczę takim, jakim będę
w przyszłości.

Duch wskazał ręką w przeciwnym zupełnie kierunku.

— Mój dom jest tutaj. Dla czego każesz mi iść gdzieindziej?

Nieubłagana ręka nie zmieniała drogi; Scrooge pobiegł jednak, zajrzał przez okno. Zawsze był tam kantor, lecz już nie jego. Inaczej był urządzony, inaczej oświetlony, kto inny siedział na jego miejscu. Duch ciągle wskazywał drogę.

Scrooge poszedł za nim niespokojny, lękliwy; zadawał sobie ciągle pytania, co się z nim stać mogło, co się przytrafiło? Tak rozmyślając, stanął wraz z przewodnikiem u żelaznych sztachet i podniósł głowę. Cmentarz!

Cmentarz! Tu zapewne w głębi ziemi spoczywa nieszczęśliwy, którego nazwisko miał poznać.

Duch wiódł go po krętych ścieżkach cmentarza, wpośród grobowców, pomników, kamieni i innych oznak żalu, pamięci, cnót, zwycięstw, chwwały, szlachetności i t. p. Wreszcie zatrzymał się i wskazał na jeden grób. Poruszenie i postawa widma były więcej jeszcze nakazujące, poważne, uroczyste. Scrooge drżał.

-- Nim postąpię naprzód, nim zbliżę się do kamienia, który mi wskazujesz, powiedz mi, zaklinam cię, odpowiedz na to jedno pytanie: czy to wszystko jest obrazem tego co *stać się musi*, czy też tego co *stać się może*!?

Duch za całą odpowiedź opuścił rękę nad grób, przy którym stanął. Scrooge włókł się na

kolanach, blady, drżący, podniósł ręce, patrzył w postać ducha, którego palec zawisł nad zaniedbanym, opuszczonym, samotnym grobem, wreszcie z konwulsyjnym wysileniem opuścił oczy na kamień i wyczytał:

„EBENESER SCROOGE.“

— Więc to siebie widziałem na śmiertelnej pościeli?

Widmo powiodło ręką od grobu do niego i od niego do grobu.

— Nie duchu! nie! oh nie!—zawołał, chwytając go za suknie.—Słuchaj, jam już inny człowiek, całkiem inny; nie ten, jakim byłem nim dostąpiłem szczęścia poznania ciebie i twoich braci. Czyż dla mnie nie ma ratunku, czyż nie ma nadziei, czy nie ma zbawienia?!

Po raz pierwszy ręka ducha zadrżała.

— Dobry duchu! — mówił dalej Scrooge, klęcząc u stóp widma — wstaw się za mną, wybłagaj dla mnie litości. Powiedz mi, że mogę zmienić te wszystkie obrazy, odmieniwszy życie. Czcic będę Boże Narodzenie nie w dzień jeden, lecz przez rok cały. Życ będę przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Wszyscy trzej nie odstępście mnie na chwilę, a raczej ja ciągle będę z wami, korzystając z waszych nauk.

Tak mówiąc i szamocąc się uchwycił rękę widma.

Duch chciał ją wyrwać, lecz Scrooge ścisnął ją z niesłychanem wysileniem. W tem pasowaniu się z widmem uderzył gwałtownie ręką, obrócił się, powstał na nogi i poznał... że jest w swoim pokoju, we własnem mieszkaniu. Zamiast ręki ducha, ścisnął w rękę słupek od własnego łóżka. Cóż za sny straszliwe!!!

~~4000~~

PRZEBUDZENIE.

Scrooge ścisnął w rękę słupek od łóżka.

Tak jest, od swego własnego łóżka, w swoim własnym pokoju.

— Chcę żyć w przeszłości, w teraźniejszości i w przyszłości!—powtarzał bez ustanku wyskakując z łóżka.—Nauki trzech duchów pozostaną wyryte w mej pamięci. O Jakóbie Marley! dobry mój przyjacielu! Błogosławię niebo i Boże Narodzenie za twe posłannictwo. Tak jest, powtarzam to na kolanach.

Tak był wzruszony, tak rozgorączkowany do brewni przedsięwzięciami, że drgający głos nie mógł wyrazić uczuć przepelniających jego piersi. W czasie walki z ostatnim duchem gwałtownie szlochał i miał twarz zalaną łzami.

— Tak, usunę, odmienię, zatrę wszystkie obrazy straszliwej mej przeszłości.

Zaczął się ubierać; drżącemi rękoma targał i przekręcał ubranie, wywracał do góry nogami, z pośpiechu wszystko mu z rąk leciało.

— Nie wiem sam co robię!—wykrzyknął, płacząc i śmiejąc się zarazem.—Czuję się lekkim jak piórko, szczęśliwym jak anioł, wesołym jak student, rozmarzonym jak pijany. Wiwat Boże Narodzenie! Życzę wszystkim wesołych świąt! pomyslnego roku, radosnej przyszłości! Mój Boże! mój Boże!

Podskakując przebiegł całe mieszkanie: z sypialni do salonu, do gabinetu—tchu zabrakło staruszkowi.

— W tej ryneccze stał kleik — mówił, stając przed kominkiem — temi drzwiami wsunęło się widmo Marley'a, w tem miejscu siedział duch teraźniejszości! przez to okno widziałem pokutujące duszyczki. Tak, widziałem! A teraz wszystko jest na zwykłym miejscu. Mój Boże!—Rozśmiał się śmiechem pełnym, zdrowym, serdecznym—nie śmiał się od lat niepamiętnych. — Nie wiem nawet jaki jest dziś dzień. Nie wiem ile czasu spędziłem w towarzystwie duchów. Nic nie wiem. Mniejsza o to. Jestem jak nowonarodzone dziecko, ah, ah!

Odgłos dzwonów z kościołów sąsiednich przerwał mu radosne okrzyki.

— Dę! dę! dę! prześlicznie, wspaniale, cudowna muzyka! pasyami lubię!

Pobiegł do okna, otworzył je na oścież, wyjrzał na ulicę; najmniejszej mgły, żadnej zawiei. Zimno czyste, błyszczące, wesołe, orzeźwiająca, poruszająca krew w żyłach, złociste słońce, niebo uśmiecha-

jące się, dzwony najradośniejsze. Wspaniale, cudownie!

— Co za dzień mamy dzisiaj? — zapytał przez okno małego, wystrojonego chłopczykę, który stanął i z podziwieniem wpatrywał się w niego.

— Co? — odpowiedział chłopiec, robiąc wielkie oczy.

— Co za dzień mamy dzisiaj? powiedz mi, mój chłopieku!

— Dziś, a z kądże pan przybywasz? dziś jest Boże Narodzenie.

— Boże Narodzenie! więc się nie spóźniłem, wszystko stało się w ciągu jednej nocy! Duchy zrobiły wszystko przez kilka godzin. Mogą wszystko co tylko zechcą! Słuchaj no, mój mały!

— Co pan każe?

— Czy ty znasz ten sklep na rogu, gdzie sprzedają drób i wędliny, wiesz, tam, jak się idzie w drugą ulicę na prawo?

— Rozumie się, że wiem.

— Sprytne dziecko — rzekł Scrooge. — Znako-mity chłopiec. Nie widziałeś przypadkiem wczoraj wielkiego indyka, wiszącego w oknie, nie tego drugiego — małego, ale dużego.

— Ach! tak, pamiętam, prawie taki, jak ja — odpowiedział chłopiec.

— Rozkoszne dziecko, jaki dowcipny, co za przyjemna rozmowa! Ktoby się tego spodziewał — mówił Scrooge do siebie. — Mój koteczku!

— Słucham pana?

— Czy ten indyk jest tam jeszcze?

— Jest, w tej chwili mu się przypatrywałem.

— Kup mi go!

— Czy pan ze mnie żartuje?

— Nie, dalibóg że nie. Idź i powiedz żeby mi go przynieśli. Jak wrócisz z indykiem dam ci za drogę, a jeżeli się bardzo pospieszysz, dostaniesz talara.

Dzieciak nie słyszał reszty, puścił się jak strzala, był już na rogu.

— Poślę go Bobowi Cratchit — mówił Scrooge, zacierając ręce i śmiejąc się wesoło. — Ani się domyśli, skąd to na niego spadło. Indyk dwa razy większy od Tomaszka. Podoba mi się ten żarcik.

Napisał adres Boba, odmieniwszy pismo, otworzył drzwi, gdy przyniesiono indyka, czekał chwilę na posłańca, a wtem wpadł mu w oczy młotek od drzwi wchodowych.

— Będę cię kochał i szanował całe życie, drogi mój młotku, ja com na ciebie nigdy nie spojrział. Jakże uczciwie wygląda, doskonały młotek. Otóż i indyk; co tam słyhać, jak się macie? wesołych świąt!

— Panie! co za indyk! Nie—ten nigdy pewnie nie utrzymał się na nogach, byłby je połamał w drzazgi, to ciele nie ptak.

— Wiesz co, mój bracie! nie udźwigniesz go tak daleko, masz tu za fatygę, a to na dorożkę.

Śmiejąc się, klaszcząc w dłonie, zacierając ręce, wrócił na górę, obdarzywszy hojnie obu posłań-

ców, którzy zasypali go podziękowaniami, siadł na fotelu i zapłakał z radości.

Z trudnością mógł się ogolić, ręce drżały mu jak w febrze, wreszcie jako tako wywiązał się z tej drażliwej operacyi, a gdyby był sobie nawet uciał kawałek nosa, to i tak byłby się cieszył i dziękował Bogu.

Ubrał się, wdział najpiękniejsze suknie, wyszedł na ulicę.

Tłumy ciągnęły we wszystkich kierunkach, tak jak to widział podczas przechadzki z drugim duchem. Scrooge wpatrywał się we wszystkich, rozglądał się na prawo i na lewo, uśmiechając się wesoło. Miał minę tak zacną, tak poczciwą, tak zachęcającą, że kilka nieznajomych osób z ludu (ci zawsze są poczciwi) zaczęło go mówić:

— Wesołych świąt, panie dobrodzieju! wesołych świąt.

Scrooge utrzymywał potem, że gdy go po raz pierwszy tak pozdrowiono, mało nie umarł z radości.

Uszedłszy kilkaset kroków, spostrzegł idącego naprzeciw siebie jednego z panów, którzy dnia wczorajszego byli w jego kantorze po kweście. Na ten widok serce mu się ścisnęło.—Co on sobie o mnie pomyśli, jak on na mnie spojrzy?—Lecz w jednej chwili zastanowił się co mu uczynić wypada. Przyspieszył kroku, wziął go za obie ręce i rzekł:

— Laskawy panie, jakże się pan miewa? spodziewam się, że ta wczorajsza fatyga była korzystna dla nieszczęśliwych, zazdroszczę panu i winszuję

zarazem tak zaszczytnego poświęcenia. Wesołych świąt, kochany panie!

— Pan... pan... Scrooge?

— Tak jest, szanowny panie, to moje nazwisko. Nie wiem czy przyjemnie brzmi w uszach pańskich, wybacz mi moje wczorajsze zapomnienie. Byłem bardzo zajęty, roztargniony. Lecz dziś pozwolisz pan (tu Scrooge nachylił się i szepnął mu coś do ucha).....

— Czy podobna? czy być może?—zawołał nieznajomy, nie mogąc wyjść z podziwienia — czy pan nie żartuje ze mnie?!

— Mówię jak najpoważniej, ani grosza mniej, płacę długi przeszłości; wierzaj mi pan, czynię to z największą radością, przyjm, zrób mi tę łaskę!

— Panie!—odpowiedział tamten ściskając mu rękę z uczuciem.—Podobna wspania...

— Ani słowa więcej, nie godzin jestem pochwał. Bądź pan łaskaw i oznacz mi godzinę, gdzie i kiedy mam się stawić z pieniędzmi. Może raczysz przyjść do mnie z twoim zacnym towarzyszem.

— Bez wątpienia.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję. Będę panom nieskończenie wdzięczny, do widzenia. Polecam się ich pamięci.

Wszedł do kościoła, modlił się, znowu chodził po ulicach, uśmiechał się, zagadywał nieznajomych, całował dzieci, wypytywał ubogich o ich potrzeby i obdarzał wsparciem. Nigdy nie czuł się tak szczęśliwym.

Około południa znalazł się przed mieszkaniem siostrzeńca.

Przeszedł około drzwi tam i napowrót kilkanaście razy. Nie miał dość odwagi, aby przestąpić progi tego domu. Wreszcie zakolatał do drzwi.

— Czy pan jest w domu, moje dziecię?—zapytał nieśmiało służącej.

— Jest, proszę pana.

— A gdzie?

— W pokoju jadalnym z panią. Zaprowadzę pana do sali i dam znać państwu.

— Dziękuję, twój pan zna mnie bardzo dobrze, prowadź mnie do jadalnego pokoju. Tu! dobrze, dziękuję ci.

Otworzył drzwi z wolna, nieśmiało. Młoda para kręciła się około stołu, przygotowanego do obiadu. Pani oglądała wszystko starannie.

— Alfredzie!—rzekł Scrooge.

— Mój Boże!—zawołała z przełknięciem siostrzenica.

— Kto tam?—zapytał Alfred.

— To ja, wuj Scrooge, proszę się uspokoić, wszakżeś mnie prosił wczoraj na obiad, czy mogę wejść Alfredzie?

Czy mógł?—Alfred go porwał i wniósł prawie na środek pokoju, mało go nie roztrząsał z radości. W pięć minut Scrooge był jak u siebie. Przyjęto go serdecznie, radośnie; siostrzeniec, jego żona, goście, którzy później przybyli, wszyscy byli z wielkim dla niego szacunkiem i uprzejmością. Ba-

wiono się wybornie, Scrooge śmiał się i zachęcał całe towarzystwo do wesołości, zapraszając do siebie za kilka dni, dopóki nie urządzi mieszkania.

Nazajutrz rano, raniuteńko, był już w kantorze. Koniecznie chciał wyprzedzić swego buchaltera i schwytać go na gorącym uczynku spóźnienia. Udało mu się. Nowa przyjemność. Zegar wybił dziewiątą—nie ma Boba; kwadrans na dziesiątą — nie ma. Wreszcie nadszedł — spóźnił się o siedemnaście minut. Scrooge przeglądał niby to książki. Bob po cichuteńku otworzył drzwi, zdjął w sieni kapelusz i szalik, wsunął się jak piskorz, zasiadł na krześle w swoim pokoiku i zaczął pilnie pisać, chcąc wynagrodzić czas stracony.

— Hej—zawołał Scrooge, udając dawny swój głos—co się to ma znaczyć? Po wczorajszem próżniactwie tak późno przychodzić, a to co za porządki?

— Przepraszam pana, bardzo przepraszam, spóźniłem się cokolwiek.

— Cokolwiek—półośmnastej minuty! Proszę bliżej!

— To tylko raz do roku—mówił Bob z pokorą—raz jeden, to mi się nigdy nie przytrafi, zabawiłem się wczoraj z dziećmi, tak mi czas uciekł, że...

— Nie, tak dalej być nie może—przerwał mu Scrooge.—Dość tego!—zeskoczył z krzesła, porwał Boba wpół i zawołał:—Tak dalej być nie może. Dla tego... podwajam ci pensję.

Bob zadrzał, wpadł do swojej celki, schwytał żelazną linię, gotów do obrony, chciał wołać ratunku, pomocy, trzymajcie waryata!

— Tak, Robercie — mówił poważnie Scrooge — przedewszystkiem życzę ci wesółych świąt — i tu poklepał go po ramieniu. — Mój poczciwy towarzysz, nigdy ci ich nie życzył. Przyznaję, że się nie obchodziłem z tobą jak wypada. Podważam ci pensję, chcę przyjść w pomoc twojej pracowitej rodzinie; za dużo mamy roboty, biorę Piotra do kantoru, zresztą pomówimy o tem obszerniej dziś wieczór, przy szklaneczce ponczyku. Tymczasem nim zaczniesz pisać, dalej, rozpalić porządny ogień, zimno tu jak w psiarni, weź węgle do siebie, ja sobie kazałem kupić oddzielny koszyk.

Scrooge wykonywał więcej aniżeli przyrzekał, nie tylko dotrzymał słowa, ale wyświadczał wiele, wiele dobrego.

Był dla małego Tomaszka drugim ojcem.

Stał się wzorowym panem, wzorowym przyjacielem, najzacniejszym z ludzi. Niektórzy złośliwie uśmiechali się z tej zmiany. Lecz Scrooge nie na to nie zważał, wiedział dobrze, że na kuli ziemskiej są istoty, dla których każde nawrócenie, każda szczerą poprawa, każdy czyn szlachetny, ciepły, serdeczny jest solą w oku. Śmiali się z niego. On się śmiał także serdecznie, uczciwie — to była cała jego zemsta.

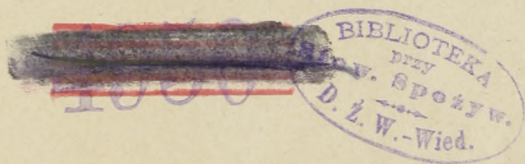
Nie przestawał już z duchami, ale więcej przestawał z ludźmi, cały rok Boży żył z przyjaciółmi, z rodziną, czekał niecierpliwie dnia Bożego Naro-

dzenia. Wspaniale obchodził tę wielką uroczystość, wieńczył ją najlepszymi uczynkami. Wszyscy mówili, że nikt tak nie święci Bożego Narodzenia jak Ebenezer Scrooge.

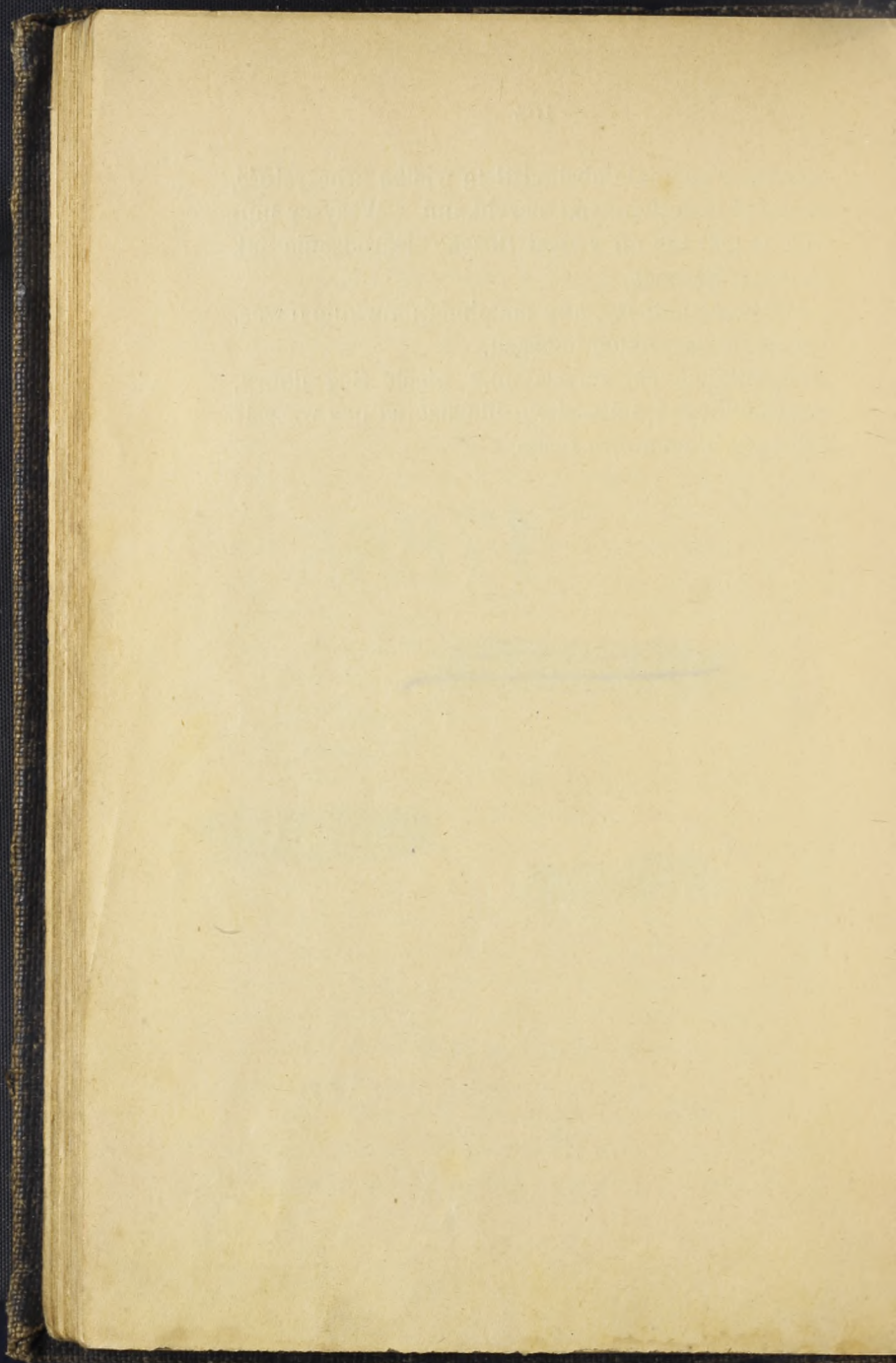
Pragnę z duszy, aby podobnie mówiono o was, o mnie, o wszystkich ludziach.

„Miłujcie się nawzajem,“ niech Bóg dobry, sprawiedliwy i miłosiwy błogosławi nas wszystkich i okaże nam swą łaskę.

17685 .



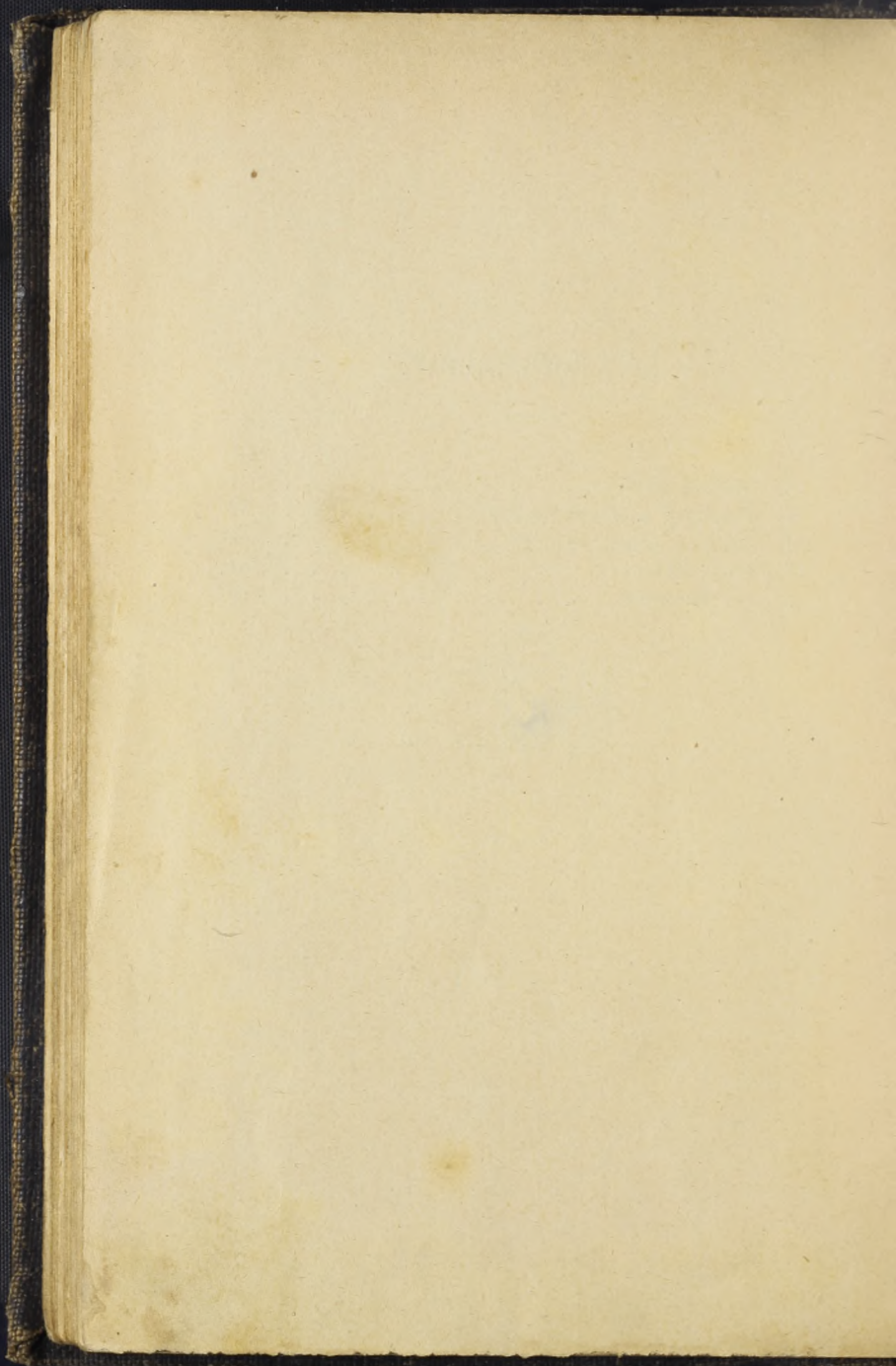
BIBLIOTEKA MIEJSKA
im. H. SIENKIEWICZA
w PRUSZKOWIE
Nr. 5479.

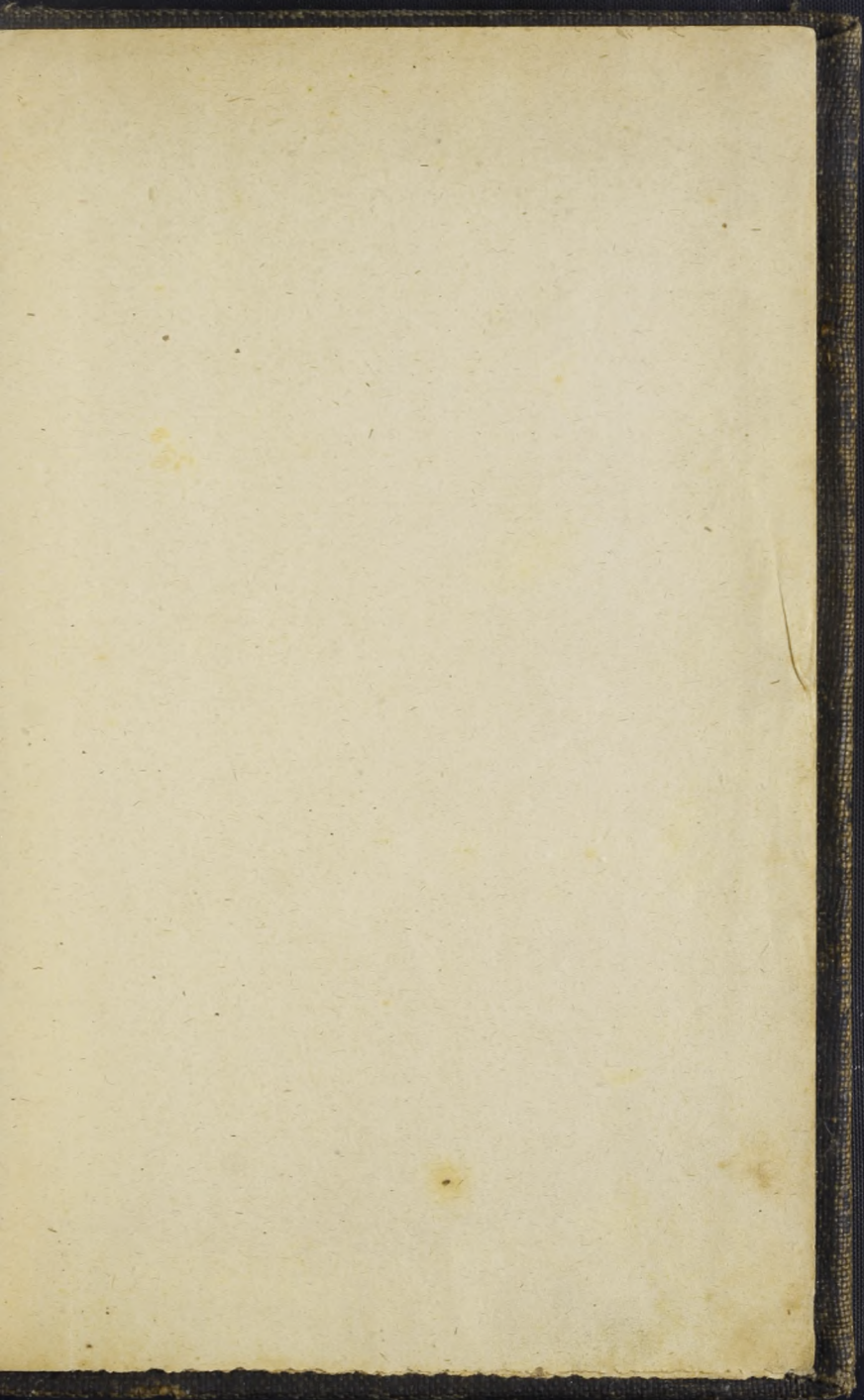


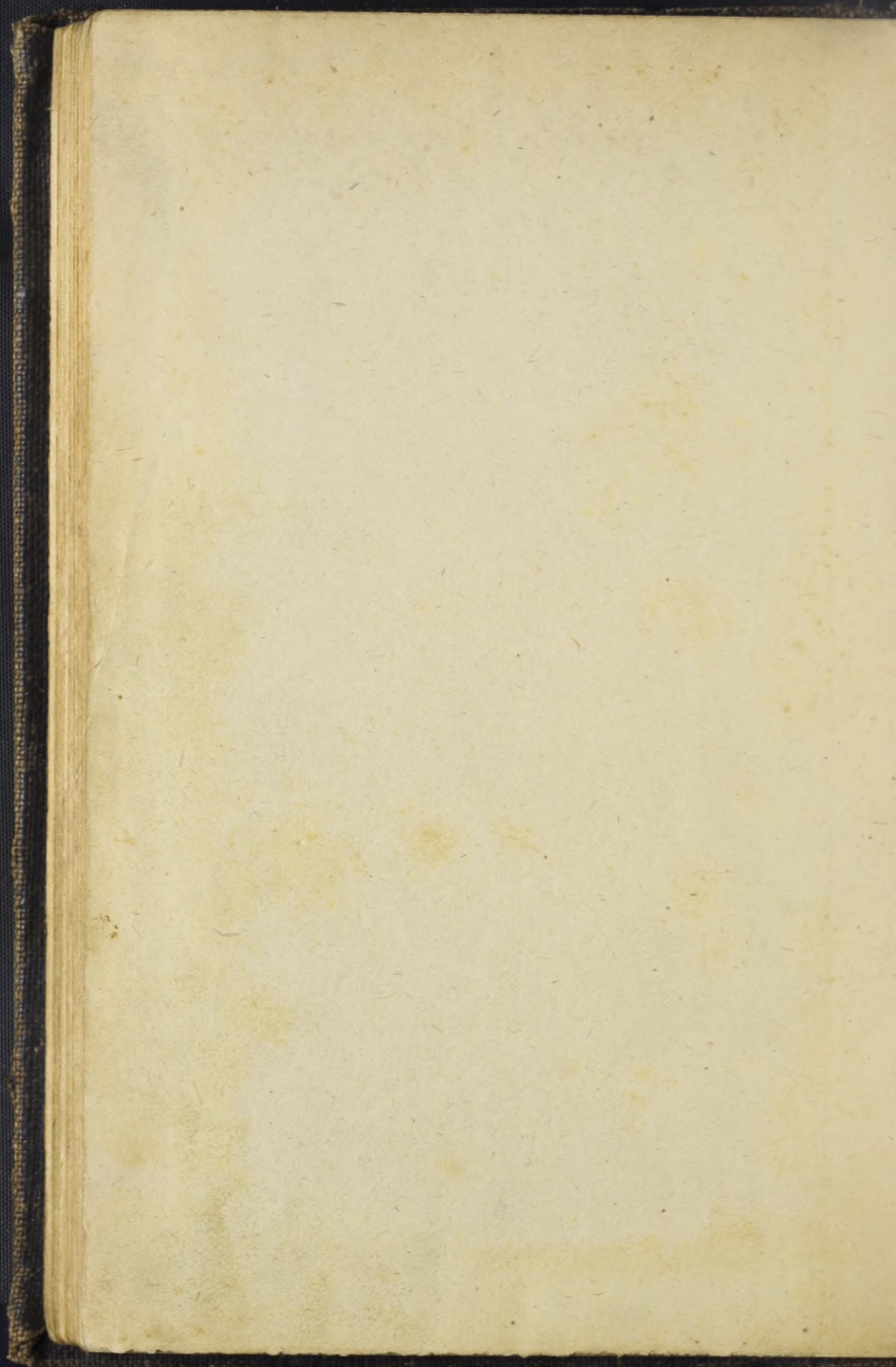
SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. Widmo Marley'a	1
II. Pierwszy z trzech duchów	30
III. Drugi z trzech duchów	55
IV. Duch ostatni	81
V. Przebudzenie	96









77-72

Leinster

placem
genem

Thames

Black

B.M.
P. 12
6-12-18



315040

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001017565545